Nr. 9 (1105). Warszawa, dnia 16 Lutego (1 Marca) 1902 r. Rok XXII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50**, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od godz. 11 do 12 rano.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

ROZKŁAD HISZPANII.

W środku ubiegłego miesiąca w stolicy Katalonii niezadowolenie robotników metalurgicznych z wynagrodzenia i z warunków pracy wywołało rozruchy, które wykształtowały się w zacięte walki uliczne i przez dwa dni miały postać ruchu rewolucyjnego, niczem już niepodobnego do zwykłych *strike*'ów. Wojsko walczyło z ludem, lud napadał na wojsko, zabijał pojedynczych policyantów, zatamował ruch tramwajów i wozów, usiłował opanować gazownię miejską i wodociągi, nacierał na więzienia i klasztory, opustoszył piekarnie z robotników, rzeźniom dał wypoczynek — a sam o głodzie i chłodzie szalał i szalał. Gorączka ogarnęła Manresę, Castellon de la Plana, Reuss, dolinę Llobregetu i pomykała już do Aragonii. Drgawki wstrząsnęły i Walencyę i Sewillę. Kilkudziesięciu zabitych, nieoznaczona liczba poranionych i pokaleczonych są owocem tych dni krwawych i łzawych, które ciągnęły się przez cały przeszły tydzień i dopiero na początku bieżącego ustały, chyba już na teraz stanowczo; wielkie bowiem posiłki dla wojska, stan oblężenia i groźba przysłania okrutnego Weylera, tego samego, który wieńce swe zbierał na Kubie—ostudzić musiały zapał rewolucyjny. Izby dały rządowi konstytucyjne rozgrzeszenie, a lud barceloński ma teraz przeciw sobie nietylko generał-kapitana, wojsko, policyę, mieszczaństwo miejscowe, ale i sam sejm. Siła złego na jednego.

Podobno ruch był wszczęty i kierowany z zewnątrz, przez jakiś komitet, czy syndykat międzynarodowy w Londynie. Anarchizm czy socyalizm miał według innych źródeł zespolić się z partykularyzmem katalońskim, a wróżbici polityczni na dobitkę zapowiadają jeszcze ruch karlistowski. W każdym razie, jak widać z korespondencyj francuskich, najlepszych, bo najbliższych, podstawy ruchu obecnego sięgają po za zwykłe socyalistyczne podłoże. Chorób endemicznych, zagnieżdżonych w Katalonii jest więcej, niż jeden tylko socyalizm, i wszystkie one zbiegły się na tę chwilę złowrogą, która ludowi losu nie ulży, przeciwnie, może go jeszcze pogorszyć. Rząd przechwalał się w sejmie sprężystem ramieniem swojem, przechwalał tryumfami w 600 już przeszło bezrobociach. Może padło jakie słowo ukazujące w szale ulicy cierpienie człowieka, krzywdę jego i ból; w dotychczasowych wszakże doniesieniach niema ani śladu rozwagi zdolnej oddziałać na wypadki, nie sprężystem ramieniem, ale twórczą energią rozumu ekonomicznego i państwowego. Niesłychanie prostą i łatwą jest polityka, prowadzona przez kij, kulę lub pałasz; dopiero gdy ją ma podjąć rozum społeczny i trochę tego społecznego serca, które bodaj czy nie jest głównym motorem dziejów, występują trudności. W Hiszpanii zawsze się je omijało, zawsze one pierwej człowieka przygniotły, zanim człowiek odważył się je powalić. I światła jasnego brakło i uczciwej woli, a co było dawniej, to jest i dzisiaj.

Jest przedewszystkiem i tradycya państwowego lenistwa. Wyhodował ją absolutyzm Filipów i fanatyzm jawnych, z żagwiami podpalającemi stosy, i utajonych, z toporami zabijającymi człowieczeństwo, inkwizytorów. Gdzie król wraz z grandami i biskupami, którzy wkoło niego wirują, jest wszystkiem, tam naród musi być niczem. Zniknie tam, daleko odbiegnie od środowiska faktów, od życia— pojęcie państwa i społeczeństwa, państwowego i społecznego porządku. Prowincye hiszpańskie miały wprawdzie swoje historyczne prawa, do których rozkwitu i sami Arabowie się przyczynili; ale w owym podwójnym absolutyzmie tronu i ołtarza nie mogły z nich korzystać dla swej kultury. Co dawało prawo, to wydzierał król i ksiądz. Gdy za Burbonów francuskich, z wyjątkiem Basków, wszystkie inne dawne królestwa potraciły swe przywileje, brutalnie wydarte, wiek XVIII ujrzał już doskonałe zjednoczenie w jednej ręce i wszystkich sterów i wszystkich sterujących sił. Dopóki sam Filip V, twórca tej doskonałości, czuł i zaspakajał potrzebę państwowego porządku, dopóty była nadzieja przynajmniej odrodzenia się mocarstwa hiszpańskiego; po nim nawet i ten blask przelotny zgasł: zaczęło się zapadanie w jedno wielkie wspólne dla rządu i dla narodu bagnisko. Pełgały nad niem tylko ogniki wyższych talentów: natura bowiem wyjałowić się odrazu nie dała i u piersi swych wykarmiła niejedną wybitną siłę w sztuce, nauce i literaturze — choć człowiek zbiorowy sam nierozumem swoim nad zgładzeniem ich pracował.

Pomimo nieudolności, sobkostwa, rozrzutności i rozpusty królów, absolutyzm ich mniej jeszcze zaszkodził nieszczęśliwemu narodowi niż absolutyzm księży. Rzecz dziwna, nie wstrzymało go nawet wygnanie Jezuitów, wcześniejsze od bulli Klemensowej. Fakt ten był raczej czynem zawiści usuwającej współzawodnictwo niż trzeźwości otrząsającej się z mroków i oków. Wszelka religia pozytywna stać się musi ciemnicą dla duchów jeśli tylko uzna sprawy swe za najwyższe w społeczeństwie i zdoła ten fałsz w duszach ludzkich zaszczepić. Kto wiernym daje tylko niebo

i drogę do niego różańcami usłaną, ten z pewnością zapatrzonym w nadświaty wydrze ziemię, wydrze samą religię, sprowadzając ją do czczych formułek, do buddyjsko-mongolskich młynków. Ziściło się to na Hiszpanii: po panowaniu religii nastało w XVII w. panowanie duchowieństwa. Szkoły służyły, nie do nauki, ale do nieuctwa; literatura pozbawiona indywidualizmu zmarniała; umysły stały się niezdolnymi do pracy rozumnej, do dostrzegania i poprawiania stosunków społecznych. Zwolna zapanował bezwład i niezdolność do życia, które przecież musi być i jest niezależnem od widzeń i złud wyobraźni, a z istoty swej jednem tylko być może — świeckiem. Straszny był to moczar dla ducha, ale straszniejszą jeszcze jest ta zaraza, która z niego buchnęła w przyszłość i dziś jeszcze ją zakaża. Cały ustrój polityczno-społeczny musi być przeorany myślą odrodzenia i postępu, poddany niejednej amputacyi, zasilony niejedną nową, uwolniony od setek dawnych gnijących instytucyj; budowa musi stanąć na podwalinie nowych obyczajów, głębiej i rdzenniej społecznych niż dzisiaj — jeśli Hiszpania nie ma się stać ofiarą bronioną tylko do czasu przez swe położenie geograficzne. Marzenie!

LISTY SŁOWIAŃSKIE.

Zatarg serbsko-chorwacki. — Zwrot w stosunkach. — Nowe prądy wśród młodzieży. — Partye chorwackie. Madyaroni. — Narodowcy. — Stronnictwo prawa. — Starczewicz. — Rozłam w stronnictwie prawa.—Zjednoczenie opozycyi. — Stanowisko młodzieży postępowej. — Znaczenie nowego prądu.

Bodaj czy nie najbardziej niezrozumiałą ze wszystkich waśni narodowościowych jest walka, tocząca się od szeregu lat pomiędzy Serbami a Chorwatami. Przyzwyczailiśmy się widzieć we wszelkich objawach tego rodzaju, przedewszystkiem zatarg o prawa językowe mniejszości, gwałcone przez większość. Tymczasem w stosunkach serbsko-chorwackich nie może być mowy o żadnej walce językowej, ponieważ obie strony walczące posługują się jednym i tym samym językiem. I stosunki angielsko-irlandzkie, gdzie Irlandczycy, nie znając innego języka, prócz angielskiego, nienawidzą swych zaborców-Anglików, uciskających i wyzyskujących Irlandyę politycznie i ekonomicznie, nie przedstawiają żadnej analogii z serbsko-chorwackimi. Ani Serbowie nie uciemiężają Chorwatów, ani ci ostatni nie wyzyskują ekonomicznie Serbów. Różnice wyznaniowe zapewne odgrywają dość znaczną rolę w tym zatargu, zwłaszcza wśród mas ludowych, fanatyzowanych przez duchowieństwo. Ale jak wytłomaczyć w takim razie nienawiść Serba-katolika z Dalmacyi do katolików-Chorwatów lub solidaryzowanie się Bośniaka-muzułmanina z katolikami-Chorwatami? Przyczyny nienawiści wzajemnej tkwią najbardziej w dążnościach politycznych obydwóch szczepów, z których każdy wciąga w zakres swych marzeń część terytoryum, uważanego za własność wyłączną przez stronę przeciwną. Taka Dalmacya, Bośnia, albo część Slawonii stanowi terytorya, bez których ani Serb nie może wyobrazić sobie „Wielkiej Serbii,“ ani Chorwat „Wielkiej Chorwacyi.“ Stąd wieczne kłótnie, w najwyższym stopniu osłabiające obydwie strony. Serbowie prawie wcale nie znają tworów literatury i nauki chorwackiej, ogniskujących się w Zagrzebiu. Chorwatów nic nie obchodzą książki, drukowane w ich języku rodowitym (choć odmiennemi czcionkami *) w Nowym Sadzie lub Belgradzie. Serb w Dalmacyi popiera przeciwko Chorwatom Włochów, a w Chorwacyi łączy się z Węgrami. Chorwat-szowinista odmawia Serbom miana narodu i traktuje ich na równi z Cyganami. W ten sposób bardzo dużo energii traci się na wzajemne zwalczanie w łonie jednego narodu dwóch wrogich szczepów.

Największą szkodę przynosi ta waśń właśnie Chorwatom, którzy jako najbardziej kulturalna i najzdolniejsza gałąź Słowiańszczyzny południowej, mogliby wywierać bardzo znaczny wpływ na wszystkie kraje, zamieszkane przez plemię serbsko-chorwackie, gdyby waśń nieszczęsna nie istniała. I walka ich z italianizacyą nad Adryatykiem i z madyaryzacyą w Chorwacyi i Slawonii byłaby daleko mniej utrudniona. Dlatego też wśród Chorwatów w ostatnich czasach coraz częściej zaczęły się odzywać głosy, nawołujące do pojednania, zwłaszcza młode pokolenie chorwackich działaczów politycznych, otrząsając się ze starych przesądów, troskliwie pielęgnowanych przez partye panujące, zaczęło energicznie zmierzać do usunięcia waśni serbsko-chorwackiej. W przeciwieństwie do sławnych polityków młodzi wygłaszali zasadę tożsamości obu narodów powaśnionych i spotkali się w tem dążeniu swem z młodą inteligencyą serbską w Zagrzebiu, która już była sprzykrzyła sobie występy anty-chorwackie kierowników polityki serbskiej. Młodzież serbska i chorwacka powoli zaczęła się zbliżać wzajemnie i w ten sposób wytworzyła się w stolicy Chorwacyi „Zjednoczona chorwacka i serbska omladina.“ Młodzież z obu stron nie spotkała się z uznaniem wśród swego społeczeństwa, ale głoszone przez nią idee stopniowo zyskiwały grunt coraz trwalszy, zwłaszcza w społeczeństwie chorwackiem. Nowy ten prąd, datujący się zaledwie od lat kilku, zyskuje coraz więcej zwolenników, tem bardziej, że łączy się on z kierunkiem, dążącym do zupełnej zmiany dotychczasowej polityki chorwackiej względem rządu i narodu. Do wielkiego powodzenia nowego kierunku przyczynił się w znacznym stopniu wynik ostatnich wyborów do sejmu chorwackiego, przeprowadzonych w listopadzie roku ubiegłego. Wybory te były groźnem *memento mori* dla wszystkich obrońców samodzielności chorwackiej, dla wszystkich przeciwników madyaryzacyi we wszelkich jej formach. Opozycya bowiem, reprezentowana w ubiegłej sesyi sejmowej przez 26 posłów, zmniejszyła się o połowę. Był to niełada tryumf rządu węgierskiego i partyi madyaronów, osiągnięty przeważnie nadużyciami, ale w znacznej mierze i dzięki temu, że walka Chorwatów z Serbami trwała w dalszym ciągu i że szersze koła ludu były po dawnemu zupełnie obojętne na to, czego pragnęły partye opozycyjne.

Młodzież, domagająca się gruntownej zmiany polityki dotychczasowej, a dotąd lekceważona lub traktowana z wielką niechęcią przez starszych działaczów politycznych, odrazu pozyskała wielkie znaczenie i odegrała wybitną rolę na zjeździe całej opozycyi chorwackiej w połowie stycznia r. b.

Rzućmy okiem na wzajemne ustosunkowanie się chorwackich partyj politycznych.

Najsilniejszą jest partya madyarońska, czyli rządowa. Rdzeń tego stronnictwa stanowią arystokraci chorwaccy, ciążący ku Pesztowi i niewolniczo oddani głoszonej w Peszcie idei jedności węgierskiej. Z pomiędzy tej arystokracyi wyszedł i obecny ban chorwacki, hr. Khuen Héderváry, jak rów-

*) Chorwaci używają alfabetu łacińskiego na modłę czeską, Serbowie zaś zmienionej znacznie grażdanki rosyjskiej.

9)

M. Grossek.

SERCE.

Szkoda, że Antoni nie był takim „mózgowym“ człowiekiem, który ukochawszy ideał, umie go pozostawić na wysokości, a uczucie swoje ku niemu spalić w bezinteresownem uwielbieniu!

Ludzie tacy, jak Antoni, jeżeli kochają czasem „niebianki,“ to nie dlatego, aby się sami chcieli wyanielić, ale dla tego, że podejrzewają w tych niebiankach delikatniejszy w użyciu smak „niebiańskości.“ Są to wyrafinowani smakosze estetyczni: dusza kobiety upiększa jej ciało i podnosi rozkosz posiadania.

Antoni kocha i chce posiadać.

Pokorna jego poza nie jest platonizmem, lecz wyczekującą taktyką.

To też skoro tylko upewnił się, że w ten sposób stoi na miejscu ze swym romansem, postanowił natychmiast zmienić postępowanie. Siłą namiętności, którą teraz popuści cugle, złamie jej „skrupuły sumienia,“ zedrze z niej przemocą tę maskę sztucznej obojętności, pod którą uczciwa kobieta zamężna kryje nielegalną swą miłość. Byłże tak zaślepiony w swym błędzie, że bez żadnej z jej strony zachęty żywił wciąż nieuzasadnione nadzieje? Czyż nigdy nie zachwiało się w nim przekonanie, powzięte w pierwszej chwili, że był kochanym?

I owszem — bywały chwile wątpień, w których przyznawał, że anielskie jej oczy patrzały tak samo na tę „szatankę Maryę,“ na tego „zbója Motrę“ na męża, dzieci, Apolonię, Bejlę, na kwiaty, na psy i na niego! Zimny pot okrywał mu wtenczas ciało, pomimo czerwcowego upału, a kurcz płaczu za krtań go ściskał. Widział to jasno... nie tak jasno jednak, aby po chwili miłość własna nie ukołysała go złudzeniem. „Było to *to*—i nie *to*.“ W postępowaniu jej względem siebie dostrzegał jednak pocieszające wyróżnienie...

„Wyróżnienie“ to zresztą istniało rzeczywiście i nawet z biegiem czasu wzrastało. Był jakiś pół-cień, ćwierć-tonu — jakaś zmiana w oddechu, w złożeniu ust, w zmrużeniu powiek jakieś coś—nic prawie! niewiadome pewnie dla niej samej, wyraźne jednak dla uczucia, czem Serafina „wyróżniała“ go od wszystkich innych. Była przecie pomimo wszystko kobietą i ta czułość delikatna, to pieszczotliwe obejście, z któremi pierwszy raz w życiu się spotkała, musiały zaspakajać niewątpliwie pewną niezadowoloną potrzebę jej serca kobiety. Czuła teraz w otoczeniu jeden wzrok uważny i pojętny, który patrzał na nią dla niej samej, nic nie chciał od niej i nie odbierał, a sam gotów był dać wszystko! Duszy znękanej powszechnem brutalstwem i egoizmem stosunek ten musiał dostarczać miłych, orzeźwiających wrażeń.

Zresztą i ona na siódmem dnie serca, kto wie, czy nie nosiła się z uczuciem piękności niepoznanej, wdzięku nieodgadnionego, perły deptanej? Może więc miłym jej był ten jeden jedyny znawca, który odkrył ją w pyle, podniósł i oczyma żałował.

Musiała widzieć z jego hamowanych półsłówek, a ze spojrzeń jawnie złowrogich, jak cierpieć nie mógł całego jej otoczenia za obejście się z nią wcale nie takie, jakiego była godna! Czuła, że gdyby tylko skinęła, onby w jej obronie dał się we znaki wszystkim i potrafił nie jednemu nakazać dla niej szacunek. Ona się na to uśmiecha, ona tego nie chce, tego skinienia nie wyko-

nież i minister dla Chorwacyi w Peszcie, Ervin Csech. Masę partyi madyarońskiej tworzą uciekienierzy z partyj opozycyjnych, ludzie ambitni i jednocześnie karyerowicze, dalej urzędnicy wszelkiego rodzaju, wyższy kler, olbrzymia większość osiedleńców niemieckich i węgierskich oraz prawie wszyscy Żydzi. Żywioły to z nielicznymi wyjątkami zupełnie obojętne na narodowe interesy chorwackie; to też rząd węgierski może zawsze liczyć na ich pomoc, skoro chodzi tylko o ukrócenie swobód Chorwacyi lub o pogłębienie madyaryzacyi. Kierownikiem partyi madyaronów jest z reguły ban; przy wyborach jej kandydaci wychodzą z urny jedynie dzięki poparciu władz rządowych.

Madyaronów w sejmie zawsze popierają posłowie serbscy, widząc we wszystkich zarządzeniach, krępujących prawidłowy rozwój narodowości chorwackiej, rękojmię rozwoju serbszczyzny. Rząd węgierski skwapliwie korzysta z tych ich usług, obdarowując ich za to marnymi ochłapami. Nie boi się ich wcale jako stanowiących nieznaczną mniejszość ludności kraju i wyzyskuje umiejętnie ich nienawiść do Chorwatów.

Opozycya chorwacka rozpada się na kilka obozów. Kiedy w r. 1848 Chorwatom udało się uchronić dzięki banowi Jelaczyczowi swą samodzielność, sejm chorwacki w r. 1861 stanął na stanowisku z 1848 r. i zażądał zupełnego wyodrębnienia Chorwacyi od Węgier i zjednoczenia jej z Austryą i Węgrami jako części zupełnie samodzielnej. Atoli nieprzejednaną na tym punkcie pozostała tylko mniejszość. Co do większości, to ta, z biskupem Strossmajerem, kanonikiem Raczkim i adwokatem Mrozowiczem na czele, zgodziła się na pewne ustępstwa. Większość, przezwawszy się stronnictwem „narodowem,“ szła coraz bardziej na prawo, aż rozpadła się na dwie części — madyaronów, o których mówiliśmy już powyżej i „niezależną partyę narodową.“ Nazywa się ich zwykle „obzoraszami“ od organu *Obzor*, około którego się skupili, lub „strossmajerowcami“ od głównego przywódcy.

Rdzeniem „obzoraszów“ była najinteligentniejsza część społeczeństwa chorwackiego— profesorowie uniwersytetu i szkół średnich, wybitni uczeni, poeci i beletryści, kler narodowy. Opierała się ta partya na inteligencyi i na mieszczaństwie, kierowali nią przeważnie adwokaci, a codzienną pracę partyjną wśród ludu wiejskiego wykonywali prawie wyłącznie księża. Partya ta uczyniła dużo dla swego narodu na polu kulturalnem, ale w polityce stopniowo traciła grunt pod nogami, dzięki swemu wielkiemu umiarkowaniu i obawie wielkich reform. W końcu stała się prawie bezsilną grupką, przedstawiającą interesy oportunistycznie usposobionej inteligencyi. Coraz też bardziej przesiąkała klerykalizmem.

Nieprzejednana mniejszość z r. 1861-go zorganizowała się pod wodzą E. Kwaternika i A. Starczewicza w t. zw. „partyę prawa.“ Stronnictwo to w przeciwieństwie do „obzoraszów,“ walczyło ze wszelkim oportunizmem, nie uznawało ugody z r. 1867 i radykalizmem politycznym swych żądań, zdobyło olbrzymią popularność, zwłaszcza wśród młodego pokolenia. Przywódca partyi, A. Starczewicz, posiadał wpływ nieograniczony, co można wytłomaczyć jedynie chyba tylko bezbrzeżną naiwnością młodszej inteligencyi chorwackiej. Albowiem był to dziwak skończony, człowiek nie mający pojęcia o tem, co się dzieje w kraju, fanatyk zakamieniały, zwalczający z zasady wszystko, co tylko głosili jego przeciwnicy, nawet w takim wypadku, jeśli powtarzali jego własne zdania. Wpływ jego był wysoce szkodliwym, zwłaszcza, że za jeden z głównych celów życia obrał sobie szerzenie bezwzględnej, jakiejś wprost ludożerczej nienawiści do Serbów. Potrafił pisywać całe tomy jedynie w celu ośmieszenia i wyszydzenia samej nazwy narodowej Serbów. Zmarł w r. 1895, a partya jego już rozbiła się na dwie frakcye—„czystych“ i „nieczystych prawaszów.“ Rozbicie to wynikło z przyczyn osobistych.

„Nieczyści“ pomału zaczęli zbliżać się do „obzoraszów“ aż w r. 1897, przed wyborami do sejmu, połączyli się ze sobą. Na czele „czystych“ stanął rzutki adwokat Frank, spekulant polityczny, goniący za karyerą i pragnący zrobić ją w drodze opozycyi. Wszystkie istniejące partye chorwackie cechuje brak określonego programu, brak ścisłej organizacyi i, co najgłówniejsza, zupełna niechęć do wszelkiej pozytywnej pracy wśród mas ludowych. O organizacyi włościaństwa, stanowiącego olbrzymią większość wyborców, nikt nie pomyślał. Nawet o zwykłą działalność kulturalną wśród ludu bardzo mało kto dba. Nic więc dziwnego, że rząd z wielką łatwością pozbawia tak niedołężną opozycyę wszelkiego znaczenia i nic sobie nie robi z jej protestów nie popartych niczem, coby wzbudzało szacunek.

Ostatnie wybory, przeprowadzone w ciągu 14 dni po zamknięciu sesyi sejmowej, z całym aparatem najbrutalniejszych nadużyć, pokazały opozycyi, że, jeśli tak dalej pójdzie, to za kilkanaście lat Chorwacya stanie się zwykłą prowincyą węgierską, pozbawioną wszelkiej samodzielności politycznej i skazaną na powolną madyaryzacyę. Zwołano więc zjazd wszystkich partyj opozycyjnych. Zaproszono też i młodzież, występującą pod nazwą „chorwackiej omladiny postępowej.“ Wszystkie partye opozycyjne zlały się w jedno stronnictwo o całkiem jednolitej organizacyi. Ponieważ trudno przypuścić, ażeby partye, zaśniedziałe w swych dawnych przesądach i w swej rutynie, potrafiły po zjednoczeniu się natchnąć nowym duchem chorwacką politykę narodową, przeto młodzież uchwaliła pozostać na stanowisku odrębnem, iść ręka w rękę z całą opozycyą chorwacką w każdej akcyi, mającej na celu podniesienie kulturalne czy ekonomiczne ludu, ale dążyć do zorganizowania partyi własnej, na nowych zasadach opartej.

Ponieważ wśród tej młodzieży postępowej rej wiodą ludzie, którzy bliżej zapoznali się czeskiem życiem politycznem, a specyalnie z działalnością prof. T. Masaryka i jego uczniów, przeto nowa partya wzoruje się w swym programie i w swej taktyce na czeskich — „realistach.“ Zaznacza to wyraźnie w swym organie *Horwatska Misao* (*Myśl Chorwacka*), który zaczął wychodzić od nowego roku.

Nowy prąd w politycznem życiu Chorwacyi niewątpliwie odbije się i w polityce węgierskiej względem Słowian, zwłaszcza jeśli postępowej młodzieży uda się dopiąć zgody z Serbami. Ruch narodowy niemadyarskich narodowości Węgier zyska na sile, co nie zostanie bez wpływu i na sprawy austryackie.

Slawista.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W Tryeście, w pierwszej połowie lutego, były zaburzenia w rodzaju barcelońskich. Uśmierzenie kosztowało wiele ofiar w zabitych i rannych. Z początku rząd sam uważał je za wyłącznie anarchistyczne; później w sejmie oświadczył, że działały w nich żywioły wyłącznie separatystyczne. Która z tych „wyłączności“ jest prawdziwą? Żadna. Czynne było i stronnictwo przewrotu społecznego i stronnictwo Italia irredenta; wystąpiły też i żywioły ekonomiczno-socyalistyczne. Teza rządowa dowodzi całej kruchości przymierza Włoch z Austryą w ogólnem przymierzu. Ten czy ów kanclerz, sam wreszcie cesarz niemiecki nie byłby spadkobiercą polityki bismarkowskiej, która

---

na... Ale dla kobiety czuć to, że jest przy niej ktoś, gotów stanąć w jej obronie — jest to być już pomszczoną.

IX.

Serafina siedziała na wale odarniowanym, który ciągnął się jak miedza pomiędzy dwiema połaciami ogrodu warzywnego. Za nią jeżył się łasek tyczek cienkich, gęsto a krzywo powtykanych, w około których groch obwijał serduszka swych listków bladych, przezroczystych i strączki mięsiste, jeszcze zielone. Przed nią słały się po ziemi szorstkie, płaskie jak talerz liście ogórków, powiązane kosmatą, żylastą łodygą, częstokroć porwane na szmaty, wdeptane i ziemią przysypane. Żółte cytrynki i białe czarnymi ściegami przeszywane białawce przysiadały na naciach. Komary syczały, jak swarliwe, cienkie głosy niewiast, wisząc nizko, nieruchomie, nad mokrą ziemią, w cieniu długiej linii czarnych porzeczek. U nóg Serafiny leżała w dołku rozpostarta płachta, a na niej zsyp strąków, o bokach pękatych, z ostrymi ogonkami, podobnych do gąsienic opasłych, zielonych, które zlazłszy się na kupę, zdawały się w niej roić i szemrać. Serafina wyłuskiwała groch do koszyka.

Na prawo rysował się tylko monotonny bok alei, osadzony jednym szeregiem młodych, nizkich wisien, wprost niej zdaleka metalicznie błyszczały białe ściany domu od strony ganku, a w górze niebo było mocno szafirowe, po którem żeglowały bryłowate, białe obłoki, do kłębów waty podobne, zasłaniając lub odsłaniając słońce i wytwarzając na otwartej zielonej płaszczyźnie zajmujące dla oka, ściganie się świateł i cieniów, niby w walce żywych ciał aniołów słonecznych i czarnych demonów Zoroastra, przewalających się po ziemi. Słońce przypiekało mocno, na dalekich dziedzińcach piały koguty. Ziemia po deszczu silnie parowała. Z powodu rannej bytności w kościele Serafina miała na sobie porządniejszą sukienkę, która szczególnym trafem była ładna i jej w niej było ładnie. Misterne arabeski białe i błękitne zlewały się w tym muślinku w jakąś wodnistą i niebieskość głęboką; w pasie przewiązała się wstążką, a na głowie, od słońca, położyła lazurową chusteczkę z wolno puszczonemi czterema rogami na wzór włoskich wieśniaczek. Od czasu do czasu wietrzyk igrając z tymi końcami, którykolwiek z nich narzucał jej na czoło, a wtedy cień niebieski na twarz jej spływał, pogłębiając i wzmacniając ciemny błękit jej oczu i czyniąc twarz jeszcze bielszą i przezroczystszą.

Twarz ta była mizerną i, od czasu do czasu przebiegało po niej skrzywienie bolesne —z powodu słoty Serafina cierpiała na reumatyzm. Rzeźwą była jednak i wesołą. Trzymały ją na nogach dobre nerwy i fatalistyczność: „Bez woli Boga nie spadnie nikomu włos z głowy.“ Pocóż więc troszczyć się o siebie — skoro gdy uderzy godzina... To też siedziała w lekkiej sukience na wilgotnej ziemi i spożywała na śniadanie surowy ogórek, rzodkwie i chleb razowy; żywiąc się tak zawsze nędznym, pokarmem roślinnym, chociaż lekarze zalecali jej dbać o siebie. Ale ona się z tego śmiała... Człowiek jest zdrów, gdy zdrowym się czuje i gdy na równi ze zdrowiem używa życia,.. póki go starczy. Półgłosem fałszowała sobie jakąś piosenkę. Słuchu, głosu i poczucia muzykalnego zupełnie była pozbawiona... lecz to ją pewnie najmniej pod słońcem obchodziło.

Tak siedzącą dojrzał z ganku Antoni i puścił się ku niej na przełaj przez zagony, mnąc nogami kruche, soczyste liście warzyw.

Zakochanych ogarnia czasem taki szalony poryw szczęścia na widok przedmiotu

zbudowała Niemcy, gdyby z niemocy włosko-austryackiej nie skorzystał. W trójprzymierzu z Austryą utajone jest dwuprzymierze przeciwko Austryi. I tak było od samego początku.

Stany Zjednoczone wysłały dnia 1 grudnia 1901 r. notę do Rosyi i Chin, którą teraz dopiero ogłoszono. W nocie uważają wszelkie przywileje nadawane w Mandżuryi jednemu jakiemuś mocarstwu, a nie wszystkim odrazu, za niebezpieczne dla samych Chin, a szkodliwe dla nieuprzywilejowanych, w liczbie których w danym wypadku występują i same Stany. Podpisanie umowy o Mandżuryę wstrzymane, ale nie zaniechane.

D. 25 z. m. poseł Głębocki zabrał w sejmie pruskim głos przeciwko nadużyciom i gwałtom poznańskim. Hakatyzm rządowy, spółkowy i prywatny, rzucił się teraz na nazwy polskie miejscowości i przezywa je cudacznie. Rozwiązywanie zgromadzeń polskich jest stałą zasadą rządu miejscowego; konstytucya cierpi przez to gwałt. Bojkot, którym szermują Niemcy, jest właśnie ich pierwszym pomysłem. Według min. spr. wewn. Hammersteina Głębocki plecie trzy po trzy. Dąży tylko do podburzania. Nawet religia służy Polakom za płaszczyk do polityki. Ale sam mędrzec zapalił swe światło u kaganka historyi, robionej przez politykę. Napoleon, który miał wielki interes w zapewnieniu bytu samodzielnego Polakom, nie mógł się na to odważyć, poznawszy bliżej Polaków i Polki. Oto jest historyozofia jedynie prawdziwa. Jak on wybornie, ten brytan uwiązany przy budzie, zna historyę i jak ją głęboko wyrozumiewa! Dziś wszędzie widać agitacyę za oderwaniem dzielnic polskich od Prus. Prusy muszą się bronić. Jeśli Polacy przeczą, niech to w prasie swej oświadczą. Jeśli są niewinni, to po co zbierają fundusze na skarb narodowy? Rząd z drogi nie zejdzie: w dzielnicach polskich kultura niemiecka, obyczaj niemiecki, porządek niemiecki muszą się rozwijać jak najswobodniej. *Dixit.*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NIEMIEC.

Berlin, 20 lutego.

Ludzkość ma znowu możność przekonać się po raz nie wiem który, iż Niemcy są właściwie najgrzeczniejszem i najbardziej uprzejmem państwem na świecie. „Kurs nowy" bowiem bratał się już ze wszystkimi rządami bez wyjątku, obsypując je wyrazami czułości i życzliwości. Oczywiście, dowody największej łaski spotkały „bratnie państwo," Austryę, o czem świadczą dostojne odwiedziny w Wiedniu i Berlinie. Do Francyi wywieziono kilka wagonów orderów, a nadto zaproszono generałów francuskich na manewry, co nie przeszkodziło jednak niewdzięcznym i niegrzecznym gościom w odpowiedzi na dostojny toast zaznaczyć, iż „rewiami i paradami nie wygrywa się Austerlitzów." Z Anglią zawarto przymierze w obronie Chin, a nadto osobiście odprowadzono królowę Wiktoryę na miejsce wiecznego spoczynku. Królowę holenderską przyjmowano gościnnie w Poczdamie i przywitano wielką mową, w której przyrównano ją do wiosny. Osobiście w Konstantynopolu zawarto serdeczną przyjaźń z sułtanem i przypieczętowano ją następnie, wysyłając z Berlina nad Bosfor wodotrysk z napisem, opiewającym w dytyrambach przyjaźń przedstawicieli obu rządów. Do Madrytu wydelegowano poselstwo z orderami. Księcia Monaco przyjmowano gościnnie i rozpytywano szczegółowo o jego badania oceanograficzne. Skandynawię zwiedzano osobiście yachtem. Słowem, rząd niemiecki spełnił misyę wytkniętą niegdyś przez Schillera i Beethovena (IX. symfonia):

> Seid umschlungen Millionen
> In dem Kuss der ganzen Welt.

Niemcy w istocie przycisnęły ludzkość do swego kochającego łona i obsypały gorącymi pocałunkami przyjaźni. Brakło jednak w tem gronie przyjacielskiem stale jednego państwa: Stanów Ameryki Północnej.

Jeden z młodych ekonomistów niemieckich stwierdził dobitnie fakt, iż już przed dziesięciu laty dwór berliński pierwszy w Europie zaproponował koalicyę państw Europy środkowej przeciwko Ameryce. Pewne poszlaki świadczą, iż myśli tej nie zarzucono po dzień dzisiejszy. Hr. Gołuchowski, który w swoim czasie podniósł ten sam projekt, skopiował i skompilował tylko cudzy pomysł. Gdy podczas swej ostatniej podróży po Skandynawii Wilhelm II przyjmował na swym yachcie towarzystwo turystów francuskich, poruszył w rozmowie z nimi myśl zjednoczenia państw europejskich przeciwko potędze miliarderów amerykańskich, stojącej za kulisami zaatlantyckiej scenery politycznej. Wilhelm II zaznaczył, iż Anglia będzie zmuszona, pomimo swego odwiecznego separatyzmu, zaprządz się do wozu unii. Po za tem nie zbywało bynajmniej na powodach do zatargów i wzajemnej niechęci. Wystarczy tu przypomnieć zachowanie się admirała niemieckiego przy Manili podczas wojny amerykańsko-hiszpańskiej lub ciągłe niezupełnie bezpodstawne posądzanie przez Amerykę państwa niemieckiego o pożądliwe umizgi do rzeczypospolitych południowo - amerykańskich. Wreszcie zaszedł w ostatnich kilku tygodniach wypadek, który nietylko powinien był wytrącić z równowagi Niemców, ale mógł w istocie dać do myślenia nawet całej Europie. Hamburczycy mianowicie, obudziwszy się pewnego poranku, dowiedzieli się z przestrachem, iż są bezpowrotnie we władzy yanke'ów. Morgan, słynny miliarder amerykański, nie wypowiadając wojny, ani wysadzając w Europie wojska, za pomocą kilku zręcznych forteli spekulacyjnych zawładnął dwiema wielkiemi hamburskiemi liniami okrętowemi, które stanowiły chlubę Niemiec jako pionierki handlu niemieckiego na dalekim Wschodzie i w krajach oceanicznych.

Jakeśmy pisali obszerniej w swoim czasie, trusty amerykańskie stanęły obecnie u kresu swych podbojów handlowych. Rynek krajowy odmawiał stanowczo dalszego odbioru towarów, a kapitały bezczynne gwałtownie domagały się lokaty. Zakłady trustowe nabrzmiewały tymczasem z dnia na dzień trzeba się było zatem spodziewać, iż lada dzień Amerykanie obległą rynek europejski swymi towarami i kapitałami. W istocie przybyli oni, ale swym zwyczajem w „czapce niewidymce" spekulacyi. Na czele zastępów zaatlantyckich stanął Morgan, jako najbardziej zainteresowany w zburzeniu Kartaginy europejskiej. Jest on bowiem duszą miliardowego żelaznego trustu, a nadto właścicielem olbrzymiej sieci kolejowej. Pierwszy łaknie rynków, ta zaś poszukuje podróżnych i frachtów. Dopiero zagarniając dwie największe linie okrętowe Niemiec, Morgan może zaspokoić żądania i ambicye swego majątku. W tym celu skorzystał on z obecnego powszechnego przesilenia, które musiało wywołać zastój w obrotach firm żeglugi morskiej, a co za tem idzie - zniżkę kursu akcyj żeglarskich. Nadto za pomocą swych bankierów potrafił on wywołać popłoch, a korzystając z tego, w sposób zaledwie dostrzegalny zakupił większość akcyj. Odtąd obydwie linie, pomimo iż są pod flagą niemiecką, uległy przymusowej adoptacyi przez Morgana i są przyrodzonemi córami Ameryki.

---

ich ukochania. Serafina nie słyszała, siedziała z głową spuszczoną pod błękitnym cieniem chustki, sypiąc z łuszczyn, które się z trzaskiem otwierały jak muszelki, perły zielone przez palce alabastrowe... Nim go spostrzegła — rzucił się u jej stóp na ziemię i sam nie wiedząc jak i kiedy się to stało głowę położył na jej kolanach.

— A to co będzie? — zapytała spokojnie zdziwionym głosem, nie przypuszczając nic więcej nad dziecinny wybryk, zaczęła burczeć za deptanie jarzyn, gdy zauważyła łzy spływające po jego twarzy.

— Antosiu! — nagle zawołała nań po imieniu. Gdzieś jej się raptem podziało tych lat dziesięć z pamięci, widziała znów małego Antosia, którego sadzała sobie na kolanach, robiąc mu po twarzy „gładko i kosmato," kiedy się mazał.

— Co ci jest?—chory?—masz zmartwienie? — no! mówże? — nalegała, wstrząsając jego głową, którą w obie ręce wzięła, O mały włos, że go nie ucałowała. I byłaby to zrobiła niewątpliwie, gdyby on na nią nie zawołał po imieniu... Ta poufałość w ustach młodzieniaszka, skierowana do niej, chcącej mu matkować, nie podobała się jej, uderzyła ją niemile jak ton fałszywy. Głowę jego z rąk wypuściła.

Antoni podniósł twarz, na której ekstaza szczęścia łączyła się ze skurczem płaczu w nieprzyjemny, histeryczny wyraz i przysiadłszy na kolanach, zaczął wpatrywać się w nią wzrokiem tak badawczym i wytężonym, że zdawało się źrenice prysną mu jak szkło od ognia, potem z miłośnym wyrazem w twarzy, ruchach i całej postaci zabrał sobie jej ręce i pieścić się niemi zaczął. Z bocznej kieszeni wyjął malenką chusteczkę haftowaną i wonną i zaczął troskliwie jeden po drugim obcierać z kurzu jej palce, śniedzią od ciągłego obierania owoców oszpecone, podobne do starego, zapylonego alabastru i wpatrując się w nie czule, przemawiał do nich miłośnie:

— Moje drogie paluszki... moje... moje... takie nieszanowane, zaniedbane, zniszczone... skarby moje! — Co za śliczna, błękitna sukienka i ta lazurowa zasłona... prawdziwy Serafin, który spadając na ziemię, oberwał sobą duży kawał nieba!...

Jakkolwiek jeszcze nic podejrzewając nic złego, Serafina zmieszała się instynktownie, zarumieniła odebrała mu swe ręce i całą osobą wykonała ruch „cofnięcia się." Aby przeciąć kłopotliwe milczenie, które zaległo po tej romansowej tyradzie, wstała, zabierając się do odejścia, a przypomniawszy sobie, że to dzień Św. Antoniego, zaczęła składać powinszowania Różyńskiemu. Ale on postanowił bądź co bądź wywołać dzisiaj przełom w ich stosunku, sprowadzić moment... ani więc słuchał co mu prawiła—mówił swoje... Mówił o swojem nieograniczonem, szalonem do niej przywiązaniu... skarżył się na jej chłód i „udawanie."

Serafina rozśmiała się dobrotliwie.

— Ależ ja jestem przekonana o twojej życzliwości, panie Antoni... i nie wiem, skąd ci do głowy przyszło wątpić o mojej dla ciebie przyjaźni.

— Któż tu mówi o życzliwości i o przyjaźni? — wykrzyknął z gestem zniecierpliwienia, zrywając się z kolan na równe nogi. — Doprawdy - - zawołał ze złośliwym uśmiechem — naiwność pani przechodzi wszelkie granice cierpliwości i... inteligencyi!

— Proszę więc, zrozum mnie już raz — moja Święta—że kocham cię tak, jak zwykle mężczyźni kochają kobiety tu, u nas, na ziemi, a nie tam u was Serafinów w niebie...

Nareszcie, widać było, że — zrozumiała...

(C. d. n.)

Całą tę operacyę zaś wykonał Morgan w sposób tak błyskawiczny, iż dowiedziano się o niej dopiero wtedy, kiedy było za późno. Z początku nie chcąc dać wiary temu, co zaszło, usiłowano nawet rozproszyć wszelkie obawy. Morgan, mając olbrzymie wolne kapitały, chce je uruchomić w Niemczech. Konsolów 2 i pół procentowych wcale dostać nie można, wszelkie walory przemysłowe są obecnie ryzykowne. Cóż dziwnego, że jako sprytny geszefciarz, uległ bardzo mądrej zasadzie: *ubi bene, ibi patria*. Ale wnet zrozumiano, iż miecz Damoklesa zawisł nad przemysłem kraju, że nawet pod względem strategicznym przejście do obcych rąk dwu linij, mogących, zdaniem rzeczoznawców, stanowić rezerwę na wypadek wojny, grozi państwu niebezpieczeństwem. Przy dworze berlińskim zwołano naradę, na której zapadło postanowienie, aby statuty obydwu towarzystw akcyjnych przerobić w duchu uniemożliwiającym obce wpływy. Mniejsza o to, czy zmiana ustawy powstrzyma najście Amerykanów. W każdym razie widzimy, iż o „odwiecznej“ przyjaźni, jaka będzie wkrótce przyozdabiała w sukienkę retoryczną wszelkie toasty, mowy być nie może. Przeciwnie, nietrudno dowieść, iż w bliższej przyszłości stosunki pomiędzy Europą, szczególnie zaś pomiędzy Niemcami a Ameryką, ulegną napięciu i obostrzeniu.

Niemcy w przeciągu ostatnich kilkunastu lat wyrobiły sobie na polu przemysłowem stanowisko wybitne. Jeśli pod względem politycznym i obyczajowym sława państwa niemieckiego w ostatnich czasach straciła, to zato stanowczo zyskała, jeżeli wziąć pod uwagę jej stanowisko ekonomiczne. Niemcy zdetronizowały Anglię zachowawczą i za mało sprężystą wskutek swej zarozumiałości, wyniosłości i rutyny, i zamierzały objąć po niej przemysłowe przodownictwo nad Europą. Lecz oto w chwili, gdy miały włożyć na głowę swą koronę hegemonii, weszło nowe słońce, które blaskiem swym przyćmiło sławę niemiecką.

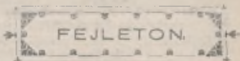
Dzięki systemowi celnemu, który na punkcie bezwzględności i chciwości nic doprawdy nie pozostawia do życzenia, dzięki organizacyi przemysłu, dokonanej za pomocą wytępienia w pień wszystkich drobnych przedsiębiorców, Ameryka w krótkim czasie wyprzedziła Europę i — jak widzieliśmy wyżej — wtargnęła do niej nie przez drzwi, lecz, jak to zwykła robić, dziurką od klucza, co jej jednak nie przeszkodzi rozeprzeć się wygodnie na swym posterunku i zażądać od Europy daniny lenniczej. Słowem, jeśli nie „zjednoczona Europa,“ widząca dotychczas byt realny tylko w umysłach projektowiczów, to w każdym razie Niemcy będą zmuszone stoczyć z Ameryką bój na życie i śmierć o swój łup rynkowy. Walka o traktaty handlowe może odroczyć na pewien tylko czas wybuch zatargu. Amerykanin bowiem znajdzie tysiąc sposobów, aby obejść warunki spisane w umowie, podobnie jak dotychczas łamał bez skrupułów i z pomyślnym skutkiem wszelkie zapory prawne i ustawodawcze. Nie moją jest rzeczą odcyfrowywać hieroglify polityki i dyplomacyi. Zdaje się jednak, iż zbytecznem jest wprost sięgać aż tak daleko. Niemcy w sprawach sercowych są ze wszystkich państw współczesnych najbardziej kapryśne i zmienne. W przeciągu ostatnich dziesięciu lat obtańcowały one, jakeśmy widzieli wyżej, wszystkie swe koleżanki, lecz każda z tych przyjaźni była tylko epizodem. Wystarczy przypomnieć, jak ściskano Anglię, aby ją potem odepchnąć od siebie z obojętnością, jak tulono do łona czule Austryę, grożąc jej jednak jeszcze zerwaniem trójprzymierza— itd. itd. Obecnie przyszła kolej na Stany Zjednoczone. Za kilka lat rozpocznie się znowu ta sama historya w Europie. Nie darmo „kurs najnowszy“ zyskał sobie sławę „zygzakowatego.“

W ostatnich czasach zaszedł właściwie tylko jeden wypadek, świadczący o zespoleniu się kulturalnem Niemiec i Ameryki. Mam na myśli nieopatentowany, jakkolwiek bardzo intratny wynalazek pani Eddy p. t. „Wiedza chrześciańska („Christian Science“). Pani Eddy obwieściła mianowicie swym ziomkom, iż wiara nietylko przenosi góry, ale, co ważniejsza, leczy wszelkie choroby cielesne. Ażeby raz na zawsze rozproszyć wątpliwości niewiernych, otworzyła ona własny uniwersytet „Wiedzy chrystyanizmu,“ w którym za sowitą opłatą wykładała teologię, „akuszeryę metafizyczną“ i inne bardzo ciekawe przedmioty. Za dodatkową zapłatę zaś udzielała tytułu doktora, który uprawniał do praktyki. Po upływie krótkiego czasu Ameryka liczyła 500 kościołów „Wiedzy chrześciańskiej“ wraz z 3,000 doktorów i uzdrowicieli płci obojej, przeważnie jednak żeńskiej. Dzięki dość nieskromnej reklamie, niebardzo licującej w swych formach z religijnym charakterem „wiedzy,“ pani Eddy zyskiwała coraz szersze koło odbiorców swego towaru. W gronie klientek znajduje się między innemi — rzecz ciekawa — sporo artystek. Wystarczy tu przytoczyć głośną Lilian Russel, znaną zresztą i w Warszawie ze swych występów. Ogłosiła ona „list otwarty,“ w którym przysięga, iż jeden z kapłanów pani Eddy wyleczył ją w przeciągu kilku dni z bronchitu, teraz zaś, w razie potrzeby, sama się leczy za pomocą „uzdrawiających modłów“ lub gorliwego czytania Biblii. Koleżanka pani Russel znowu tylko pani Eddy zawdzięcza, że wyrosła wyżej o kilka cali. Inna znowu dzięki „Christian Science,“ pozbyła się bólów głowy i „tremy“ scenicznej. Jakaś milionerka w dowód wdzięczności zapisała nawet pani Eddy swój majątek, a przez pewien czas tysiące osób odbywało pielgrzymki do niewiasty cudotwórczej.

Aliści niema nic stałego na naszym świecie. W miarę tego, jak rosły szeregi wierzących, rozlegały się donośniej i częściej głosy sceptyków. Przedewszystkiem uderzało, iż pani Eddy wpaja ludziom swą wiarę tylko za marną mamonę, uprzedzając, iż kto nie uiści z góry gotówką pewnej sumy, ten nie może się przejąć wiarą i wskutek tego wyzdrowieć. Dalej wyszło na jaw, iż uzdrawiająca „Wiedza“ nie zwalnia nawet samych „doktorów“ od tak pospolitych chorób, jak ospa, influenza i tyfus. Niektórzy zaczęli wskutek słabości ducha tak dalece chwiać się w swej wierze, iż nawet decydowali się zawezwać lekarza, a co ważniejsza, pomimo braku wiary wyzdrawiali. Wreszcie pewien pomysłowy lekarz wyzwał „scientystów“ na pojedynek: zaproponował on, iż otruje swego zapaśnika, a ten niechaj się wyleczy za pomocą „modłów uzdrawiających.“ Ale tu zaszedł skandal niesłychany. Ani jeden scientysta — nawet sama pani Eddy — nie miał odwagi poddać próbie swej wiary. Jednocześnie okazało się, iż największe amerykańskie towarzystwo ubezpieczeniowe „Mutual life Assurance“ nie przyjmuje zupełnie zabezpieczenia scientystów, albowiem zwolennicy pani Eddy, pomimo wiary, a raczej dzięki niej, mrą jak muchy. Publiczność ogarnął tak dalece szał oburzenia, iż chciano na ulicy lynchować „doktorów“ i kapłanów. Słowem, powtórzyła się stara jak świat prawda: *nemo propheta in sua patria*. I oto w tej ciężkiej dla siebie chwili bramninowie scientyzmu zaczęli szukać nowych rynków. Przywędrowali zatem do Niemiec.

Tu przyjęto ich bardzo gościnnie, tem bardziej, że scientyści odrazu urządzili się tak, iż mieli stosunki tylko z „porządnymi“ ludźmi. Gdy rozeszła się pogłoska o zjawieniu się cudotwórców, to oczywiście zaczęli się zgłaszać i biedacy. Wysoka jakaś Miss z zatoczonemi do góry białkami i z głębokiem westchnieniem odpowiadała, iż panuje wielki natłok na posiedzeniach „uzdrawiających modłami“ (Gesundbeter), skutkiem tego wcale nie może ręczyć za to, że pacyent będzie przyjęty do nabożnego grona. Istnieje, co prawda, inny niezawodny środek leczniczy. Wystarcza nabyć dwie księgi kabalistyczne pani Eddy, które Miss ofiarowała po cenie zniżonej 20 marek, a z pewnością dokuczliwa choroba zniknie bez śladu, jeśli pacyent będzie zatapiał się w lekturze ksiąg dniem i nocą. Za pomocą tej tak prostej metody udało się zatamować napływ motłochu, a seanse scientystów stały się miejscem schadzki śmietanki arystokratycznej. Przychodziły histeryczki, przybywali panowie, którzy ponieśli szwanki w gorliwej służbie Bachusa i Wenery, napływali spirytyści spragnieni widoku wirujących stolików i obcowania z prawdziwymi duchami, a oczywiście nie zbrakło i „znużonych dusz“ w wysokich kołnierzykach, bufiastych krawatach i z niekłamaną melancholią w oczach. Epidemia rozpanoszyła się tak dalece, iż połowa dworu poczdamskiego leczyła swe dolegliwości metodą „modłów uzdrawiających.“ Berlin poszedł wkrótce za przykładem młodszej stolicy i otworzył gościnnie wrota scientystom. Odtąd zebrania ich weszły w modę, a osobiste zwiedzanie ich stało się wyrazem dobrego tonu. Prasa wszczęła alarm, ale demaskowani oszuści udawali męczenników ściganych przez społeczeństwo materyalistyczne i ateuszowskie. „Prześladowania“ przysparzały tylko popularności „nowej“ nauce, a bigoci, nieucy i próżniacy pospieszyli tłumnie na pomoc nowym zbawcom ludzkości. Wilhelm II, dowiedziawszy się o tej komedyi, oświadczył, iż na przyszłość uczestnikom jej będzie wzbronion wstęp do dworu.

H. F.



PAMIĘTNIK

Widoczek swobody.

Galicya na krosnach austryackiej „swobody“ słowa wyhaftowywa czasem obrazki nietolerancyi, które pasują zupełnie do ram barbarzyńskiej ciemnoty. Obecnie układa ona ze zmurszałych patyków stosik dla spalenia „Legend“ A. Niemojewskiego. Owe „Legendy,“ częściowo drukowane w Warszawie, są zbiorem wizyj, wywołanych z Nowego Testamentu. Przed dwoma tysiącami kilkuset laty starzy Grecy nie uważali za zniewagę, lecz za cześć dla swych bóstw, gdy wyobraźnie rozsnuwały ich mity w coraz nowych odmianach, bogacąc skarbiec poezyi religijnej prześlicznemi, dotąd podziwianemi fantazyami. Włosi średniowieczni nie poczytywali „Komedyi boskiej“ za bluźnierstwo przeciwko wierze, chociaż ona nie trzymała się ściśle kanonu kościelnego. Niedaremnie głośny fanatyk, ex-aktor, ks. Golian, wykrzykiwał niegdyś z ambony u Panny Maryi w Krakowie swoje gorzkie żale nad tem, że „minęły dobre czasy, kiedy rzucano czarną świecę“ (na heretyków). Golian umarł, ale jego duch czuwa nad obiecaną ziemią prawomyślności. Na co zdobyli się już starzy Grecy i średniowieczni Włosi, na to jeszcze zdobyć się nie mogą w XX wieku Galicyanie, którzy wytaczają nowoczesnemu poecie proces karny i wnoszą skargę do kardynała Puzyny. Mniejsza o podobne skargi: głupota nie może być

również pozbawiona prawa składania czarnych gałek do urny czasu dla stwierdzenia swym protestem wartości ludzi i rzeczy. Ale te procesy, których skutki często spadają brzemieniem ciężkiej krzywdy na losy jednostki i życie ogółu! Tyle razy już wskazywano szyderczo na Galicyę: „Patrzcie, jak oni sami się rządzą!“ Czy nie należałoby raczej zmniejszać powody do takich urągań, niż je pomnażać czynami, które wywołują rumieniec wstydu na oblicze kultury? Niech łyki krakowskie denuncyują poetę przed kardynałem, ale niech prokuratorowie galicyjscy nie otaczają swego czoła wieńcami z pokrzyw, które jeszcze mogą być przysmakiem wieprzów, ale już nie mogą być wawrzynem kozłów. Głęboko, bardzo głęboko w archiwum sądowem trzeba schować sprawę „Legend“ i starać się, ażeby o niej zupełnie zapomniano. Im więcej wrzawy, tem więcej hańby.

Sielanka społeczna.

Po każdem słowie lub po każdej nucie: kla-kla-kla! Autor! autor! autor! Kla-kla-kla! Aktorzy! aktorzy! wszyscy! kla-kla-kla! I znowu: autor! autor! I znowu: aktorzy! aktorzy! I znowu: kla-kla-kla! Męczy to, denerwuje, obrzydza autorów, aktorów, klakierów, ale gdyby przynajmniej te wybuchy dzikiego zapału wyczerpywały się w sali teatralnej i koncertowej! Gdzie tam! Nazajutrz bierzesz dziennik do ręki: jeszcze raz: kla-kla-kla! Czy już koniec? O, nie. Bohaterowie, niewywoływani, wychodzą trzeciego dnia na estradę prasy i z głębokim ukłonem dziękują w listach publicznych wykonawcom i publiczności za... dostarczenie gazu balonowi, który ich uniósł wysoko. Dalibóg, możnaby mniemać, że to są ochotnicy, którzy niedawno powrócili z wyprawy do Chin, gdzie nauczyli się przesadnie śmiesznej grzeczności. A tak ta mania rozpostarła się szeroko, że niema prawie dnia, ażeby ktoś komuś za coś w gazetach nie dziękował. Dziękuje rodzina księżom i uczestnikom pogrzebu za odprowadzenie nieboszczyka na cmentarz; dziękuje pacyent doktorowi za wyleczenie; dziękuje klient adwokatowi za przeprowadzenie sprawy; dziękuje rolnik kupcowi za przysłanie mu sieczkarni; dziękuje krytyk autorowi za napisanie książki — słowem, przesuwa się przed nami jakaś sielanka społeczna, z której wnosić należy, że albo nasze stosunki życiowe są oparte wyłącznie na gruncie wspaniałomyślności, albo też spełnianie w nich obowiązku jest tak rzadkiem, że trzeba je nagradzać publiczną wdzięcznością. Ponieważ pierwsze przypuszczenie byłoby zbyt naiwnem, więc lepiej... nie kłaniajmy się sobie tak zawzięcie.

Otwarte trumny.

Pastor J. Machlejd podniósł w *Kuryerze Warszawskim* bardzo ważną kwestyę trzymania otwartych trumien ze zwłokami aż do chwili pogrzebu. Wiele ciał ulega szybkiemu zepsuciu, wiele zawiera w sobie nasiona chorób zaraźliwych, a tymczasem przyjaciele i krewni nietylko przebywają w blizkości, ale całują nieboszczyków, unosząc nieraz z sobą lub roznosząc zarazki. P. M. przytacza kilka wymownych przykładów. „W *czwartek* odbywał się pogrzeb kobiety zmarłej w *poniedziałek* na suchoty. Przez cały ten czas trumna była otwarta w ciasnym, dusznym, nizkim pokoiku na poddaszu... Przy zwłokach, dawno się rozkładających, zebrana była rodzina i znajomi. Rozpaczający mąż całował żonę, drobne dzieci — matkę, ojciec — córkę.“ I tak dalej. Autor słusznie pyta: jeżeli przy wydobywaniu zwłok z grobu, gdzie przeleżały kilka lat, są obecni lekarze i zachowywane środki ostrożności, dlaczegóż świeże trupy nie podlegają żadnym ograniczeniom i kontroli? Przecież tu niebezpieczeństwo jest znacznie większe.

P. Kisielewski o teatrze japońskim.

Ostatniej soboty w sali kameralnej Filharmonii oraz dnia poprzedzającego w fejletonie *Kuryera Warszawskiego* p. J. A. Kisielewski, autor dramatu „Karykatury“ i „W sieci,“ zabawiał słuchaczów i czytelników teatrem japońskim. Nie popełnił przez to żadnego występku ani zdrady stanu, i śmiesznem byłoby stawiać go za to pod pręgierzem, ale też przysługi żadnej nikomu nie wyświadczył. Świat „wschodzącego słońca“ tak od nas odległy, życie jego tak niepodobne do naszego, a sztuka i literatura narodów wschodnich tak zgoła odmienna od tego, na co się patrzy w Europie! Teatr japoński! to coś, jak te kosztowne graciki i mebełki chińskie, które pieszczą wprawdzie oko subtelnością kształtów i jaskrawością barw, ale bez których życie nasze, nawet najbardziej wykwintne, wybornie obejść się może. Nie mamy za złe nikomu, że obstawi ściany swojego przybytku laką i bambusem, ale, bądź co bądź, wolelibyśmy zamiast tego egzotyzmu sprzęty w stylu zakopiańskim.

I dlatego nie podzielamy entuzyazmu p. Kisielewskiego do teatru japońskiego i jego pogardy dla „biednych dramaturgów europejskich,“ bo Sofokles, Shakespeare, Słowacki, Ibsen wychowali i wychowują całą ludzkość w Europie, a wobec nich najznakomitsze arcydzieła Japończyków zdają się nam dziecinną zabawką. I jeżeli zbliża się chwila odrodzenia dramatu, którą przeczuwa jasnowidząca dusza p. Kisielewskiego w zakończeniu artykułu, to odrodzenie to z pewnością nie przyjdzie ani z Chin, ani z Japonii.

Sam odczyt, napisany stylem lekkim, co się zowie, fejletonowym, mógłby stanowić przyjemną rozrywkę umysłową, gdyby nie sposób wypowiedzenia: głos to przyciszony nienaturalnie, że go w dalszych rzędach wcale słychać nie było, to przykro rozbijający się po sali ostrym, przenikliwym krzykiem, w miarę tego, jakie zachodziły wydarzenia w dramatach, opowiadanych przez prelegenta. *h.*

Nowe towarzystwo.

Przed kilku dniami zawiązało się Towarzystwo wzajemnego kredytu na Pradze. Potrzebę takiej instytucyi gwałtownie odczuwało przedmieście, liczące sto tysięcy mieszkańców. To też, jak widzimy z ustawy, nowe ognisko kredytowe ma na względzie przedewszystkiem potrzeby drobnych przedsiebiorców, właścicieli sklepów, rzemieślników itd. Wkłady 30-rublowe ułatwiają wstęp ludziom niezamożnym, którzy dzięki temu będą mogli wyzwolić się z zależności lichwiarzy i wzmocnić podstawy swego bytu. Niejednokrotnie brak paruset rubli prowadzi do ruiny, gdy ich posiadanie może podźwignąć drobne przedsiebiorstwo. Na nieszczęście jednak nowa instytucya odrazu stanęła na złym gruncie. Przed zebraniem wyborczem prażanie rozpoczęli gwałtowną agitacyę, celem przeprowadzenia do zarządu swoich kandydatów. Większość atoli powołała do steru ludzi z Warszawy. Wtedy stała się rzecz niesłychana. Prażanie urządzili burdę, zagasili światło, odebrali sekretarzowi kałamarz i nawet usiłowali pochwycić księgę z protokółami i podpisami członków. Przewodniczącego, sekretarza i asesora musiała wziąć w obronę policya i odprowadzić do dorożek. W rezultacie nie zatwierdzono budżetu i skutkiem tego musi być zwołane nowe zebranie ogólne. Zdaje się, iż nie będzie ono już tak burzliwe, gdyż 60 niezadowolonych zażądało zwrotu swych wkładów i wykreślenia z listy członków. Uczynili więc to, co może być najlepszego dla instytucyi, gdyż pozostaną ludzie rozsądni i bardziej wyrobieni, odpłyną zaś ci, którzy byli zwerbowani wyłącznie w celach agitacyjnych. Każdy trzeźwy i bezstronny zrozumie, że warunkiem powodzenia i rozwoju instytucyi finansowej może być rozumny i zdolny zarząd, bez względu na to, czy jego członkowie pochodzą z Pragi, czy z Warszawy. Do zarządu obecnego powołano warszawian, posiadających właśnie najlepsze kwalifikacye i dających największą rękojmię powodzenia instytucyi. I przeciwko nim wystąpiła rzesza nieświadoma, użyta w celach osobistych. *p.*



Historya Polski

NA PODSTAWIE EKONOMICZNEJ.

II.

Doszedłszy do patryarchalnego rodu rolniczo - komunistycznego, powracamy tem samem do zagadnienia jego rozwoju i rozkładu, czyli — do zagadnienia powstania nierówności, państwa i szlachty. Tu należy przedewszystkiem pamiętać o czynnikach, tkwiących w samej organizacyi pracy i jej kierownictwa wewnątrz patryarchalnego rodu rolniczego, te jednak, musimy zauważyć, Lippert w „Społecznej historyi Czech“ uwzględnia bardziej, niż Gorzycki. Ten ostatni przedstawia nam wewnętrzny zarząd rodu, w formie, zdaje się, zanadto równościowej; jeśli „obywatel rodu początkowo nie był obowiązany do słuchania obcych nakazów nawet wówczas, gdy te pochodziły od większości współrodowców“ (z czego G. wyprowadza późniejszą zasadę jednomyślności i *liberum veto* w szlacheckiej rzeczypospolitej), to być może, że dałoby się to zastosować do czasów bardzo początkowych, nadających się do analogii z ustrojem rodowo-matryarchalnym Irokezów np., z jego całkowitą demokracyą rodową; ale o rodach, których *głównym* zajęciem jest rolnictwo, jak te, które bezpośrednio poprzedzają państwowość polską, trzeba już chyba raczej sądzić na zasadzie analogii z „zadrugami“ np. południowo-słowiańskiemi: zarząd gospodarczy spoczywa tam przeważnie w rękach jednostki, najstarszej lub, w razie jej niedołęstwa, najbardziej po niej doświadczonej, i zwyczaj nakłada na rodowców-pracowników obowiązek posłuszeństwa względem niej. Poczucie solidarności i współwłasności rodowej przechowuje się długo w formie koniecznej zgody krewnych męskich na sprzedaż gruntu *) oraz stwierdzenia tej zgody przez księcia, względnie — starostę grodowego, którzy odziedziczyli to prawo reprezentowania ogółu po starościc rodowym; ale co się tyczy zasady jednomyślności w sprawach *politycznych*, jako rozciągającej się jedynie na stan *szlachecki*, kto wie, czy nie należy wyprowadzić jej, zamiast z pierwotnej demokracyi wewnętrzno-rodowej, raczej z umów *związkowych* między-rodowych, później między-opolnych itd., do których oczywiście potrzebna była jednomyślność *starostów*, reprezentujących rady.

Jeżeli przyjmiemy przedhistoryczną władzę zwyczajową patryarchy (starosty) w rodzie, to przy rozmnażaniu się rodu, zajmowaniu przezeń, względnie przez składające go rodziny poszczególne, nowych kawałków wykarczowanego gruntu, dalej — przy oddzielaniu się od rodu części, zachowujących z pniem głównym ścisły, bezpośredni związek sąsiedzki, przy braniu niewolni-

*) Ten przeżytek komunizmu pierwotnego spotykamy na całym świecie, od starożytnej Krety i Rzymu, aż do Francyi średniowiecznej.

ków w walkach z innymi rodami, wreszcie — przy pewnych zaczątkach wymiany, powstają decydujące warunki nierówności ekonomicznej i politycznej. Starosta bowiem, za porozumieniem z ogółem, czy ze starcami, o to mniejsza, wyznacza tu każdej rodzinie, względnie każdej jednostce, i to tak samo rodowcowi, jak niewolnikowi, pracę poszczególną, dział do wykarczowania lub uprawy, stopień i rodzaj udziału w owocach gospodarstwa wspólnego; lecz równolegle i to, co każdy obowiązany jest dostarczyć dla wspólnego użytku i gospodarstwa; rzeczy te przechowują się w domu starosty, pod jego dozorem i zarządem, zarówno jak rzeczy ogólnego użytku, nabyte drogą wyminany, może i zdobyte na wojnie. Przyczem mamy tu już do czynienia ze starostwem nie osobistem i dożywotniem, lecz z dziedziczną rodziną starościńską. Gdy to zważymy, musimy przyznać, że w rozszerzającym się rodzie rolniczym patryarchalnym tkwią już wyraźne zaczątki późniejszego ustroju grodowego: siedziba starosty rodowego przemienia się na gród, on — na dziedzicznego pana, obowiązki rodzin względem ogółu rodu — na pańszczyznę. Lippert zwraca uwagę, że pierwotną wspólną gospodarką pod kierownictwem starosty tłomaczą się też różne późniejsze obowiązki poddanych: mielenia w pańskim młynie, brania trunków jedynie od pana itp.

Obok tych czysto ekonomicznych czynników zaczynają działać w tym samym kierunku polityczne, które poniekąd z nich wyrastają. Rody, składające opole, może i związek opolny — plemię, połączone są wspólnem pochodzeniem od jednego rodu—co nie znaczy jednak, aby nie zawierały w sobie potomków niewolników i wędrowników, osiadłych na gruntach rodu, potem adeptowanych itd.; związek plemion, a po części i niższe związki, bywają wynikiem wspólnej obrony lub podboju przez jedno z plemion, nakładające pewne ciężary na inne. Ale i tu ważnym czynnikiem spotkania się i połączenia plemion jest wzrost ludności, idący zgodnie z rozwojem rolnictwa; najwyższy rozwój rolnictwa daje też plemieniu największe bogactwo i przewagę nad innemi. W ten sposób dokonała się budowa państwa polskiego: najbardziej rolnicze plemię „polańskie“ narzuciło swą władzę plemionom sąsiednim. W integracyi plemion grała oczywiście ważną rolę potrzeba walki z Niemcami. Później, gdy za Władysława Hermana zaczyna się wybijać na pierwszy plan ziemia Wiślan (Kraków), to ważnym czynnikiem tego przesunięcia się środka ciężkości jest też stara kultura gospodarcza tej ziemi z czasów jeszcze wielko-morawskich i czeskich.

Pierwotny ustrój państwowy, następujący po komunistyczno-rodowym, nazywa Gorzycki *grodowym*, bo ośrodkiem jest gród warowny, dawna siedziba patryarchów (a zarazem kapłanów) rodu. W mniejszych grodach (przygródkach) mieszkają i władają starostowie, naczelnicy rodziny starościńskiej w rozgałęzionym rodzie; w większych, opolnych, „panowie“ później nazwani kasztelanami (grododzierżcy) ze starościńskich rodów opolnych. Ludność okoliczna, przynależna do grodu, musi go utrzymywać produktami i usługami, zaczynając od fortyfikacyj i straży. Osady niewolników pełnią w grodzie „narokowo,“ czyli kolejno, osobiste posługi; osady kmieci dostarczają wyrobów rzemieślniczych. Stąd i nazwy tych różnych osad: Sokolniki, Strzelce, Koniary, Szczytniki, Łagiewniki (bednarze), Piekary, Kuchary itp. Jest to więc *koordynacya gospodarcza*. Jako niezbędne części tej organizacyi wytwórczości, mieszkańcy osad są „przypisani“ do grodu i nie mogą opuszczać swych stanowisk. Prawo grodu do ich pracy polega na tem, że tradycyjnie jest on siedzibą ojców i bogów rodu, ale obok tradycyi działa żywy czynnik konieczności społecznej — dopełnienia i zapewnienia produkcyi przez obronę od wrogów. Warstwa wojowników, rycerzy, wyodrębniła się z biegiem czasu od ogółu kmieci; funkcya ich zamieniła się na stałą, a nawet na dziedziczną i jako taka, wykluczyła osobisty udział w produkcyi. Rycerze zamieszkali po grodach. Naczelnicy ich, z biegiem czasu również dziedziczni — wojewodowie, uzyskali przewagę nad rodami „pańskimi“ (kasztelańskimi); oni już stanęli na czele plemion, a tem bardziej — związków plemion czyli państw, jako książęta, odziedziczając po rodach starościńskich prawo własności zwierzchniczej nad całem terytoryum państwowem. Władza patryarchalna, pod wpływem konieczności walki z państwami ościennemi, zamienia się na samowładztwo księcia. Rody wojewodów plemiennych po ujarzmieniu przez jedno z plemion, tworzące państwo, zamieniły się na rody możnowładcze i długo zachowywały rodowe prawo do godności wojewódzkiej w danej ziemi. Rody starościńskie, pańskie, wojewódzkie, a z nimi i rycerskie, utworzyły szlachtę. Herb, pierwotny znak totemiczny — przynależności do pewnego rodu, przechował się u nich jako znak grupujący rodowców w oddziały na wojnie; u kmieci, nie wojujących, znikł. Klasa szlachecka coraz bardziej wyodrębnia się od kmieci, usuwa ich od urzędów, od małżeństw, później i od prawa służby wojskowej. Dwa wielkie bunty ludowe: 1036—42 (Masława) i 1077 do 1080 (za Bolesława Śmiałego) były przeciw wykończającemu się ustrojowi klasowemu wyrazem protestu, który przyoblekł formę reakcyi pogańskiej przeciwko chrystyanizmowi.

Samo wprowadzenie chrześciaństwa nie wynikło w Polsce z potrzeb ani systemu produkcyi, ani organizacyi ekonomicznej, lecz z niemniej podstawowego źródła — z potrzeby obrony przed Niemcami. Było ono wprowadzeniem Polski do świata rzymsko-europejskiego na zasadach równouprawnienia. Dlatego też musiało nosić cechę nie narodową, słowiańską, lecz powszechną, łacińską *). Ale łaciński, nienarodowy charakter kościoła czynił go z góry niedemokratycznym, odsuwał kmieci od udziału w rządzie kościoła, a co za tem poszło — i w czynnościach państwowych, które z natury rzeczy przypadły duchowieństwu uczonemu. Jednak spostrzegać i tu możemy ważne i ciekawe zjawisko socyologiczne: ta nowość, zawdzięczająca swe wprowadzenie względom natury politycznej, rychło zrasta się ściśle z organizacyą ekonomiczną. Popierwsze, duchowieństwo, szczególnie zakonne (Benedyktyni), dzięki swej wiedzy, zaczyna odgrywać bezpośrednią rolę kierowników i nauczycieli w samej produkcyi rolniczej. Powtóre, chrześciaństwo nabiera wyraźnej cechy jednego ze środków panowania klasowego, a to ostatecznie na skutek buntu Masława. Kiedy pogromy, poniesione za Mieszka II, okazały, że chrześciaństwo nie chroni od napaści Niemców, Polacy, w których życie nowa religia nie zdążyła jeszcze wrosnąć, odwrócili się od niej. Wielkie państwo podbojowe Chrobrego było też wewnętrznie jeszcze bardzo mało spojone; rody możnowładcze, do niedawna wojewódzkie, w ziemiach plemiennych zapragnęły odzyskać niezależność; inicyatywa wyszła od Mazowsza, ziemi najmniej rozwiniętej w kierunku rolniczym, najsłabiej spojonej z całością państwa Polan. Lecz jednocześnie, jakeśmy rzekli, i kmiecie zapragnęli strząsnąć nietylko nałożone przez księcia dziesięciny kościelne, ale i dość świeże, a dość już ciężkie jarzmo panów. Ten pierwiastek wywołał u panów i możnowładców zwrot ku porządkowi książęco-chrześciańskiemu; bunt był stłumiony; między kościołem a panami zawarty sojusz. Duchowieństwo, po części już od czasów usamodzielnienia kościoła polskiego przez Chrobrego, a teraz coraz bardziej zaczęło rekrutować się z pańskich rodzin polskich. Nie występowało też ono surowo przeciw obyczajom dawniejszym; stając się „słowiańskiem,“ zaczęło też brać stronę rodów pańskich i możnowładczych przeciwko samowładztwu książęcemu, czemu sprzyjała współczesna walka papiestwa z władzą świecką na Zachodzie. Taki już charakter miały wystąpienia możnowładców duchownych i świeckich z biskupem Stanisławem Szczepanowskim na czele przeciw Bolesławowi Śmiałemu, tem bardziej, że tym razem kmiecie, buntujący się przeciw panom i kościołowi, chcieli oprzeć się na księciu, rozgoryczonym przeciw panom. Władzę książęcą zwyciężono i osłabiono (Wł. Herman), ale jedność państwa nie została już przez wojewodów naruszona; Krzywousty mógł je całe, jako swoje, podzielić między synów. Próbował walczyć z duchowieństwem słowiańskiem; sprowadzał i popierał duchowieństwo zagraniczne, które, nie mając punktu oparcia w kraju, od księcia tylko zależało i księciu służyło. Wykorzenienie starych obyczajów postępowało naprzód, ale z duchownymi i panami świeckimi książę musiał w końcu paktować. Poprzednio już, tracąc dziedziczne województwa i kasztelanie, otrzymywali panowie, a także duchowni świeccy, nadania w ziemiach i kmieciach. Rycerstwo zaś było dotychczas na utrzymaniu księcia i stanowiło podstawę jego siły; lecz wzrost jego liczebny uczynił to nadal niemożliwem, a stępienie oporności kmiecej i pamięci dawnych stosunków i tradycyj rodowych umożliwiło nadawanie ziemi i rycerzom, co też Krzywousty pierwszy zaczął praktykować. Rezultatem zaś tego było uniezależnienie i rycerstwa od księcia; zostawszy z małymi zasobami materyalnymi, władza książęca, szczególnie w Polsce podzielonej, popadła w zupełną zależność od możnowładców świeckich i duchownych.

To też wymuszają oni na książętach coraz nowe nadania oraz przywileje, uwalniające ich od danin i podatków, nadające jurysdykcyę w ich posiadłościach, mniej lub więcej apelacyi do księcia podległą itd. Duchowieństwo przedewszystkiem na synodzie w Łęczycy 1180 r. zapewnia sobie nietykalność majątków: poprzednio bowiem książę, jako właściciel całego kraju, po śmierci biskupa wchodził znów w posiadanie jego majątku. Od Leszka Białego i nominacya biskupów przechodzi z rąk księcia do wyboru kapituł i zatwierdzenia papieża. Wskutek podziału i bezsilności władzy wielkoksiążęcej, duchowieństwo staje się jedynym przedstawicielem jedności kraju, arcybiskup gnieźnieński — właściwym wielkim księciem. Tronem wielkoksiążęcym krakowskim możnowładcy rozporządzają dowolnie, wprowadzając zasadę wyboru w granicach rodu Piastowskiego, uciekając się raz do zasady dziedzictwa rodowego (na najstarszego w rodzie), to znów—rodzinnego (z ojca na syna), stosownie do osób, o które chodzi. Próby oporu Władysława II, Mieszka Starego *), Władysława Laskonogiego na nic się nie przydają. Władza książęca nie ma się na kim oprzeć przeciw wielmożom. O powołaniu do walki przeciw nim kmieci — żaden książę już nie myśli. Miast o odrębnym charakterze prawie jeszcze niema, tylko grody, obsługiwane pod względem produk-

*) Z podobnych przyczyn upadł był kościół słowiański w państwie morawskiem.

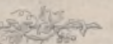
*) Co do M. Starego, to jedną z przyczyn oporu wielmożów przeciw niemu było to, że trzymał się dawnej i ogólnej wówczas na Zachodzie praktyki fałszowania monety dla wzbogacenia skarbca, co dla bogaczów, mających już znaczne skarby w pieniądzach, obojętnem być przestało.

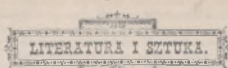
cyi, nawet rzemieślniczej, przez wieśniaków „narokowców“; handel toczy się niemal jedynie zagranicznymi przedmiotami zbytku. Rycerstwo, dawna podpora książąt, dziś samo jest ziemiaństwem. Walka wielmożów z księciem wychodzi szlachcie drobnej na korzyść: wielmoże, chcąc mieć w niej sprzymierzeńców, nie mogą, jak było na Zachodzie, poddać jej pod swoją władzę na tych samych zasadach lennych, na jakich oni uznają nominalną przynajmniej władzę księcia. Wskutek tego nie tworzy się w Polsce całkowita piramida feodalizmu, zstępująca od monarchy i największych przez coraz to mniejszych wasalów ku chłopom. Pomiędzy monarchą a chłopami tworzy się w Polsce jeden stan szlachecki, wewnątrz którego prawne różnice się nie wytwarzają; cała szlachta bierze udział w wiecach, które powracają, ale różnią się od dawnych, rodowych tem, że kmiecie już są z nich wykluczeni. Gorzycki, który zapowiada zresztą osobne studyum o feodalizmie w Polsce, nazywa ustrój taki *feudalistycznym* w odróżnieniu od ściśle *feudalnego* — na zachodzie Europy (który też wytworzył się na Litwie i Rusi).

Miasta we właściwem znaczeniu tego słowa, ze stałą ludnością rzemieślniczą i kupiecką, zaczynały się jednak rozwijać— kiedy nagle na Polskę, pozbawioną silnego organu obronnego przez rozdrobnienie i osłabienie władzy książęcej, spadła wroga siła zewnętrzna, rezultat obcych, odległych procesów ekonomicznych: najazd tatarski. Zewnętrzna ta przyczyna miała doniosłe następstwa. Zamieniła ona kraj niemal w pustynię, wygnała ludność rolniczą w lasy, o ile nie poszła ona w jassyr tatarski. Książęta i panowie z rozwiniętemi już potrzebami gospodarczemi nie mogli, wobec grożącej im ruiny, czekać na naturalny powrót do stosunków normalnych: uciekli się na wielką skalę do praktykowanej po części już dawniej kolonizacyi niemieckiej, której w dodatku sprzyjały straszne wojny domowe, rozdzierające Niemcy w połowie XIII w., wytwarzające stan niepewności i niebezpieczeństwa. Koloniści przybywali jako rzemieślnicy i kupcy do miast, jako rolnicy — na wieś, ale zawsze tylko na podstawie umów, zapewniających im wielkie korzyści i swobody: samorząd na prawie niemieckiem i wolność od ciężarów na pewien czas, tem dłuższy, im sprowadzający bardziej ich potrzebował; najdogodniejsze warunki otrzymywali więc u najmniej bogatych, najbardziej zagrożonych ruiną panów. W miastach wójt, we wsiach sołtys, mający godne stanowisko społeczne, bo powoływany nawet do służby wojskowej, stali na czele kolonii i byli pośrednikami w poborze *czynszów w gotówce*, należnych panu za dziedziczne władanie ziemią osadniczą. Zupełnie zatem nowe czynniki, zaczerpnięte z bardziej rozwiniętego Zachodu, a odpowiadające też potrzebom klasy panującej w Polsce, zostały wprowadzone do ustroju grodowego: z jednej strony samodzielne, wolne mieszczaństwo rzemieślniczo-kupieckie *), z drugiej — na pańskim gruncie rolnik czynszowy, niepozostający względem pana w żadnym stosunku prawno - gospodarczym, wypływającym z dawnych stosunków rodowców do starostów.

Dr. K. Krauz.

*) Na drugą połowę XIII w. przypadają też przywileje opiekuńcze, nadawane przez książąt Żydom po miastach.





PRZEWRÓT W TECHNICE TEATRALNEJ.

Syn znanego dobrze, przedwcześnie zmarłego (zabitego) prezydenta miasta Moskwy, Aleksiejewa, pod przybranem nazwiskiem Stanisławskiego wstąpił na scenę, zorganizował własną trupę, stworzył cały teatr i dokonał poprostu rewolucyi w technice teatralnej. Dzisiaj imię Stanisławskiego jest niezmiernie popularnem bodaj w całej Rosyi, a w Moskwie otoczone jest miłością, szacunkiem, ba! uwielbieniem. Ten człowiek, posiadający nader bogatą duszę artystyczną, okazał się aktorem znakomitym, reżyserem — nieporównanym. Niewątpliwie w swoich zapałach reformatorskich wzorował się na „wolnych scenach“ Niemiec i Francyi, ale w wykonaniu prześcignął je. Stworzył „teatr przyszłości.“ Nie wahamy się tak twierdzić wobec tego, że znawcy teatru, sumienni krytycy cudzoziemscy, szeroko rozpisali się w pismach zagranicznych o teatrze Stanisławskiego, zaznaczając, że warto odbyć obecnie „pielgrzymkę artystyczną“ do Moskwy, aby tu *nauczyć się* czegoś i znaleźć wzór do naśladowania. Sądzimy przeto, że nie od rzeczy będzie w krótkiem sprawozdaniu zapoznać z tym teatrem publiczność polską.

Ale jaki jest stosunek publiczności rosyjskiej do tego teatru? Chociaż daje on niewielką ilość sztuk (zresztą doskonale wybranych), nie mogąc podołać inaczej zadaniu sumiennego wystawiania, które osiągnąć tylko można przez dziesiątki prób generalnych i studyów drobiazgowych, jest dotąd w ciągu niemal dwóch lat zapełniony za każdym razem od góry do dołu. Już po pierwszych przedstawieniach ulubieńcy publiczności, artyści sceny skarbowej teatru Małego w Moskwie, zadrżeli o swoją popularność, wobec groźnego współzawodnika. Podczas gościnnych występów teatru Stanisławskiego w Petersburgu, publiczność miejscowa dosyć chłodna i przesycona widowiskami, znalazła się naraz w temperaturze wrzenia, zwłaszcza na przedstawieniach „Stockmana.“

Jeden z najpoczytniejszych organów stołecznych, związany akcyami z pewnym petersburskim teatrem prywatnym, zazdrośnie przypatrując się powodzeniu moskiewskiego teatru, próbował osłabić wrażenie ogólne, dowodząc, że wartość teatru Stanisławskiego opiera się tylko na przesadzie realizmu w środkach technicznych i na wybornym *ansamblu* przy braku talentów wybitnych. Zamach ten się nie udał. Entuzyazm rósł z każdem przedstawieniem, zwłaszcza na przedstawieniach sztuk Czechowa, którego utwory dotąd, nie znajdując dobrych wykonawców i odpowiedniego reżysera, uchodziły za nudne i niesceniczne, a obecnie w „artystycznym teatrze“ Stanisławskiego wykazały swoją moc, żywotność, całe skarby spostrzeżeń psychologicznych. Natomiast utalentowany fejletonista Doroszewicz, podniósł w dosadnej charakterystyce zasługi nowego teatru. Porównał go z monasterem, gdzie artyści-mnisi poddani woli przeora — Stanisławskiego, przestrzegają surowej reguły zakonnej, spełniają święcie swoje obowiązki, nie wysuwając się nigdy na plan pierwszy dla osiągnięcia efektów roli osobistej, służą jednemu świętemu celowi — sztuce, autorskiej idei. Prawdziwość tego porównania udowodniły warunki tej służby: zupełny brak ozdób w teatrze Moskiewskim, głuchy klasztorny dźwięk zegaru miast zwykłych teatralnych dzwonków, obwieszczających początek, absolutna ciemność, zapadająca w teatrze po rozsunięciu się kurtyny, przepołowionej nakształt portyery.

Stanisławski nie hołduje idei, że w przybytku, poświęconym sztuce wszystko winno odpowiadać potrzebom estetycznym widza, więc ozdobne loże, wspaniałe żyrandole, pięknie malowane plafony, rzeźby i złocenia. Stoi on na przeciwległym punkcie widzenia. W teatrze nic nie powinno rozrozpraszać uwagi widza, odciągać jej od głównego miejsca—sceny, w antrakcie przygłuszać wrażenia ze sztuki. Precz więc z ozdobami!

Moskiewski „teatr artystyczny“ jest poprostu straszną budą. Ściany pomalowano na szaro. Ustawiono szeregi prostych krzeseł. Z lóż zerwano portyery. Stworzono coś ohydnie prostego. Zda się, że to jest teatr przy kaźni dla aresztantów.

A jednak doznaje się tam bardzo wielkich wrażeń estetycznych. Na „Samotnych“ Hauptmana, na „Michale Kramerze“ na „Trzech siostrach“ Czechowa doznawałem tu jakiejś rozkosznej tortury. W przerwach widziałem mnóstwo kobiet z zapłakanemi oczyma. Zdarzały się wypadki ataków histerycznych. Możnaby taki teatr potępić, gdyby nie rzucał w tłumy tylu pożytecznych idej, tylu szlachetnych uczuć.

Jakimi środkami osiąga tak wielkie wpływy na słuchaczy? O tem właśnie chcę pomówić. Trwoży mię jednak trudność zadania, suchy opis tego, co widzieć i słyszeć należy, aby ocenić należycie.

Dawny teatr ciągle pokazywał widzowi kulisy. Kulisy zielone — w lesie, kulisy o barwach jaskrawych, ze złoceniami — w salonie. Mówiły one natrętnie do widza: pamiętaj, że jesteś w teatrze! Dzisiejszy teatr, o ile może, usuwa je. Nie sterczą już one po bokach w salonie, nie zwieszają się z pułapu. Mamy ściany i sufity.

Stanisławski poszedł jeszcze dalej. Daje on na scenie niemal wszędzie, gdzie zachodzi potrzeba, przedstawienia życia domowego — całe mieszkanie, albo część jego, kilka pokojów. W głębi na scenie, na prawo i na lewo, widać całe części pokojów umeblowanych: kawałek stołu lub kredensu, umieszczanych umiejętnie w zwykłej perspektywie, którą zdolne jest objąć oko w odpowiednio zbudowanem mieszkaniu. Odbiera się doskonałe złudzenie, którego żaden namysł przezwyciężyć nie zdoła: oko domyśla się, że mieszkanie ciągnie się dalej, w głąb, że aktorzy nie wychodzą z za kulis, lecz z dalszych pokojów, umeblowanych dla zwykłych potrzeb życiowych. Ta suggestya pozostaje przez cały ciąg widowiska. Mamy przed sobą prawdziwe mieszkanie, zaludnione, zapełnione przez zwykłych mieszkańców, służbę, czasowo przez gości. Tu nie przychodzą popisać się kilkoma słowy przed widzem, wystawić na pokaz seryi tragedyj; tu mieszkają naprawdę, żyją. Osoby, nie wchodzące do gry, ale przebywające w mieszkaniu z racyi logiki życiowej, kręcą się po dalszych pokojach, zajęte zwykłą robotą, zjawiając się na scenie, odrywają się od swych zajęć.

Oto Michalina Kramer, wychodząc z domu, wykrzykuje w kierunku dalszych pokojów pożegnanie pod adresem matki, a z głębi jadalni odzywa się przedrzeźniający głos jej brata, głos, który wstrząsa widzem i jest zapowiedzią całego dramatu rodzinnego. W „Trzech siostrach“ podczas gdy akcya rozgrywa się na przodzie sceny, gdzie para romansowa rozmawia, w jadalni snują się postacie znudzonych gości. Podczas innej sceny w salonie, najbliższym widowni, z ruchów domyśleć się można rozmowy kilku oficerów na temat—strzelania, gdy przez szklane drzw przedpokoju widać tłoczące się figury gości nadchodzących.

Całe mieszkanie żyje. Służba za każdem dzwonieniem przebiega pokoje, spiesząc

otworzyć drzwi. Przed groźną np. sceną samobójstwa bohatera „Samotnych“ przez ciemny pokój przesuwa się senna piastunka, podchodzi do kredensu i wyjmuje zeń coś dla dziecka nie zapominając przytem łyknąć ukradkiem ze stojącej tam butelki. I ten szczegół komiczny bynajmniej nie rozprasza uwagi widza. Nie zapomina on ani na chwilę, że tam w ciemnościach na kanapie kryje rozgorączkowaną głowę nieszczęśliwy człowiek, który postanowił popełnić samobójstwo. A wobec tej tragedyi, rozpierającej piersi ludzkie, życie wieczne, szare, zwyczajne—toczy się nieustannie w całej prozie i drobiazgowości swojej, toczy się bez przerwy, jak fale morskie. Dlatego wspomniany szczegół, wprowadzony przez spostrzegacza - reżysera, posiada w sobie i prawdę i grozę zarazem.

A obok tego ruchu w mieszkaniu, ruchu żywych ludzi, będącego wierną kopią z życia, mamy przedziwną grę efektów świetlnych. Świeca w ręku służącej, oświetlająca naprzemian to jeden, to drugi pokój, oddalone światło lampy gdzieś w głębi, gdy na scenie śród ciemności, słabo rozjaśnionej przez refleksy tej lampy, półgłosem spowiadają się ludzie ze swych mąk serdecznych—wszystko to ma w sobie obrazowość i poezyę, a jest niezmiernie prawdziwem i wiernem.

Drugą rzeczą, której dokonał Stanisławski, jest wprowadzenie na scenę całego świata dźwięków. Zazwyczaj w istniejących teatrach odbywa się wszystko na tle ciszy. Głosy grających odzywają się jakgdyby śród jakiejś głuchej martwoty. Milczeniu skupionych słuchaczy odpowiada milczenie na widowni. W rzeczywistości zaś świat dźwięków nigdy nie umiera.

Stanisławski pochwycił te dźwięki i przeniósł je na scenę.

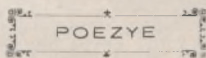
W „Trzech siostrach“ np. przez cały niemal akt z sąsiedniego pokoju za sceną dochodzi monotonny głos piastunki kołyszącej dziecko, słabszy, gdy na widowni mówią głośniej, donośniejszy, gdy rozmowa odbywa się półgłosem i gdy nastąpi przerwa lub milczenie, po wyjściu wszystkich. I ten przesiąknięty nudą głos nucącej nie pozwala zapomnieć ani na chwilę, że w mieszkaniu jest dziecko, które wtargnęło w życie całej rodziny, zajmując w niem miejsce ogromne, że matka jego w przesadnej trosce o „swojego Bohusia“ zamknęła usta wszystkim mieszkańcom domu, rozpędziła gości, zmroziła życie, a sama... od „chorego Boha“ poszła na schadzkę miłosną. Nadto ten monotonny dźwięk za sceną wnosi jeszcze coś do sztuki: podkreśla w myśl Czechowa nudę, szarzyznę życia, kładzie piętno prozy na wszystkiem, rozszerza woń pieluszek, niby chorego „Bohusia,“ usuwając wszystkie sprawy życiowe, uczucia i myśli na drugi plan.

Z ulicy dochodzą, zawsze odpowiednio do rzeczywistych warunków i autorskich intencyj, rozmaite dźwięki, wywołując złudzenie prawdziwego życia, zmuszają widza do uwierzenia, że tam po za oknami mieszkania, widzianego na scenie, rozciąga się ogromne miasto, wielkie i gwarne ulice, albo wsie, pola, ogrody, lasy, jak wypada ze scenery dramatu.

W piątym akcie sztuki Hauptmana „Samotni“ na scenę przez szklane drzwi balustrady wdzierają się przeciągłe okrzyki ludzkie, posiadające jakiś akcent tak straszny, że przy tych dźwiękach robi się popłoch na scenie i jednocześnie zamiera serce widza; czuje się że zaszło coś niespodziewanego, coś okropnego. Żona, rodzice Johannesa i widzowie, uderzeni są jedną myślą, że utonął człowiek, że Johannes się zabił—a to samobójstwo za sceną przeraża więcej, niż wszystkie podrygi i kurcze, naśladujące konanie, wzorowane na chorych w szpitalach. Podobnież w czwartym akcie „Kramera“ Hauptmana, hałas w sąsiedniej izbie w szynkowni, okrutne wymysły kilku osób, odgłosy pasowania się, krzyki o pomoc—wszystko to zapowiada z takiem złudzeniem niebezpieczeństwo, że widz uczuwa taką samą ochotę do ucieczki, jak nasłuchująca tych odgłosów na scenie siostra napadniętego; rozpaczliwemu jej okrzykowi, gdy z sąsiedniej izby wyrzucają człowieka w podartej odzieży, pokrwawionego: „To był Arnold!“ — towarzyszą mimowolne okrzyki słuchaczy, zapominających, że są w teatrze, pod wrażeniem gry tak doskonale prawdziwej w każdym szczególe!..

Nie rozpisujemy się więcej, lecz to, co rzekliśmy, wystarcza dla oświetlenia głównych zalet teatru Stanisławskiego.

Leo Belmont.



Poeta.

Podniebny orzeł, co skrzydły rodzi wiew,
Rzeźwiący spiekłą żarami twarz słońca,
Co hardo gwiezdnym szykom rzuca zew
On—silny, ziemskiej tęsknoty myśl wrząca!

Szalony, dumny ptak... w zimne źrenice ,
Łowi błyski słonecznych szeptów żalnych,
By potem jego mysterye, tęsknice
Śmiertelnym wyśpiewać na szczytach halnych...

A na krzyk jego, na białe marmury
Życie krwi rzuca całuny różowe
I sklep chmur twardy, rozpaczny, ponury
W przędziwo baśni przemienia tęczowe...

Zaduma.

Smutek ci gra? płacz, jak harfy... a deszcz też [płacze
I chodząc w cieni parku usta swe tułacze
Przyciska do zziębłych konarów... i rozmodlony
Dziwne z chorych piersi krzesze ludziom tony...

Smutek ci gra? idź w kurhany! jesień życie [wzięła
Jak idee pożniwne sterczą nagie drzewa...
Płacz omotał dusze, konary... teraz śpiewa
Smutną baśń krwawej róży, w którą igły wpięła

Białe, ostre, cienkie—cierpka mrozu chwila...
Pójdziesz, pójdziesz... Śmierć schorzałą głowę [schyla,
Wiatr ją siecze biczem deszczu—pędzi w dale...
W chatach gasną blade ognie... psalmy... żale...

Jan Wroczyński.



Czy potrzebna jest fabryka krajowa?

Coraz szerszy prąd, dążący do wyzwolenia przemysłu i handlu naszego z zależności niemieckiej, wywołał baczniejsze rozglądanie się w stosunkach krajowych. Między innemi zwrócono szczególną uwagę na potrzeby rolników, owocem zaś tego rozglądania się jest także następująca ankieta *Rolnika i hodowcy*: 1) *Czy fabryka narzędzi rolniczych krajowych jest potrzebną*? 2) Czy założenie fabryki takiej jest możliwem? 3) Jakie główne narzędzia rolnicze ma wyrabiać fabryka? 4) Czy i w jaki sposób pieniądze na założenie fabryki dałyby się zebrać przy pomocy wszystkich polskich syndykatów rolnych i towarzystw? 5) Jaka suma przypuszczalnie byłaby potrzebna na zorganizowanie takiej fabryki? 6) W jakiej miejscowości fabryka taka mogłaby być założona?

Mybyśmy dodali jeszcze pytanie siódme: Czy taki cały kwestyonaryusz jest potrzebny? Kraj nasz uchodzi za wybitnie rolniczy, posiada względnie wysoką kulturę, coraz bardziej dąży do zastąpienia wszędzie, gdzie się tylko da, pracy ręcznej maszynową, a obecnie, gdy brak robotników wiejskich grozi ruiną, wszczęły się w towarzystwach rolniczych poważne rozprawy nad gruntownem przekształceniem gospodarstwa za pomocą maszyny. Nawet włościanie coraz chętniej poszukują maszyn i narzędzi rolniczych. I oto wobec takiego stanu rzeczy kwestyonaryusz rzuca pytanie: Czy fabryka narzędzi rolniczych *jest potrzebną?!* A toć dosyć jest zwrócić uwagę na to, co sam *Rolnik i hodowca* podkreśla, że olbrzymie składy narzędzi rolniczych w Warszawie robią milionowe obroty; dość jest uprzytomnić sobie, że dyrektorowie jednego z takich składów pobierają po dwadzieścia kilka tysięcy rubli rocznie (ogółem przeszło 70 tysięcy!). Kogóż będziemy pytali? Rolników?—Każdy z nich odpowie: Potrzebne mi są przystępne a dobre: młocarnia, sieczkarnia, wialnia, a więc i krajowa fabryka narzędzi rolniczych. Zapytamy chłopa—odpowie: potrzebne mi są: pługi, brony, kosiarki, wialnie, a nawet przydałaby się i młocarnia parowa, oczywiście przystępne dla mojej kieszeni kmiecej. A więc fabryka krajowa jest potrzebna. Zapytamy właścicieli składów —odpowiedzą: Fabryka taka nie jest wcale potrzebna, gdyż to się nie zgadza z naszymi interesami. Tak więc można z góry przewidzieć odpowiedzi trzech grup. Pozostają chyba jeszcze inne, których odpowiedzi wpłyną na stanowcze rozstrzygnięcie sprawy: potrzebna czy niepotrzebna? Udajmy się tedy z zapytaniem do pp. Leszczyńskiego, Ludowej, Młynarskiego i Bandrowskiego, który z Ameryki może nam jakie wskazówki przywiezie.

Czy literatowi potrzebne jest pióro, a szewcowi szydło? Co tu się zastanawiać i pytać? Fabryka krajowa narzędzi rolniczych jest niewątpliwie potrzebna i należy ją stworzyć możliwie najprędzej, gdyż dziś jest chwila po temu najodpowiedniejsza. W całym kraju panuje nastrój skłaniający ogół do popierania wyrobów krajowych, polityka ekonomiczna wytworzy takie stosunki, że po rozstrzygnięciu sprawy traktatów handlowych będziemy musieli w wielu dziedzinach życia sami sobie radzić. Właściciele folwarków, włościanie i wszelkiego rodzaju parcelanci coraz gwałtowniej dopominają się o maszyny i narzędzia rolnicze. Co tu długo myśleć? Zakładajmy co rychlej fabrykę krajową, tylko na wielką skalę. Ale żadna ankieta, żaden kwestyonaryusz nie powoła akcyonaryuszów. Organizacyą nowego ogniska produkcyi powinny się zająć wspólnie wszystkie nasze towarzystwa rolnicze, syndykaty oraz oddziały Towarzystwa przemysłu i handlu. Przypuszczamy, iż znajdą się na to kapitały łatwiej, niż na Filharmonię i gmach Towarzystwa sztuk pięknych. Nie zapominajmy jeszcze o tem, że rozległe obszary rolnicze w Cesarstwie pochłaniają olbrzymią ilość maszyn i narzędzi rolniczych z naszych składów hurtownych, które właściwie popierają przeważnie przemysł niemiecki. Że jednak te przedmioty nie zaspakajają potrzeb całkowitych lub nie odpowiadają im w zupełności, świadczy rozwój w guberniach środkowych drobnych fabryk maszyn i narzędzi rolniczych, przeznaczonych przeważnie dla ludu. Dzięki współdziałaniu ziemstw,

produkcya ta zyskała trwałe i szerokie podstawy w guberniach: Smoleńskiej, Moskiewskiej, Permskiej, Wiackiej i Ufańskiej. W jednej tylko gub. Smoleńskiej istnieje przeszło 150 warsztatów wiejskich, wyrabiających pługi, brony, wialnie itd. Według wykazu, zamieszczonego w olbrzymiem dziele zbiorowem, p. t. „Siły produkcyjne Rosyi,“ wydanem z powodu wystawy w Niższym-Nowogrodzie, Cesarstwo wytwarza rocznie około 100 tysięcy pługów jednokonnych. Jedno tylko Towarzystwo rjazańskie wyrabia ich 10 tysięcy. Narzędzia te zastosowane są do gruntu danej okolicy, względnie do tego, czy jest on ciężki czy lekki. Pługi takie wyrabia również w znacznej ilości jedna z fabryk ryskich, głównie dla gospodarstw włościańskich w prowincyach nadbałtyckich i guberniach północno - zachodnich. Zaufanie włościan do tego rodzaju narzędzi rośnie coraz bardziej a jednocześnie wzrasta i zapotrzebowanie. Dzięki temu, powstają ciągle nowe fabryki, a stare rozszerzają swój zakres.

Przykłady te powinny służyć za wskazówkę naszym przyszłym wytwórcom narzędzi rolniczych. Powinni oni uwzględniać nietylko potrzeby właścicieli folwarcznych, ale i włościan, którym należałoby dać możliwie największe ulgi pod postacią kredytu długoterminowego lub rat niewielkich. Przemysłowcy zagraniczni, zwłaszcza niemieccy, rozumieją wybornie ten ważny warunek i dlatego skorzy są do udzielania ulg kredytowych hurtownikom i wogóle kupcom tutejszym.

Krajowa fabryka maszyn i narzędzi rolniczych powinna być olbrzymiem przedsiebiorstwem akcyjnem, rozporządzającem wielkimi środkami, gdyż tylko w takich warunkach może odpowiedzieć potrzebom tak wielkiej jak i drobnej własności ziemskiej, i stanąć na wysokim szczeblu techniki. Oprócz głównego ogniska produkcyi, Towarzystwo takie powinno rozrzucić po całym kraju drobne warsztaty do naprawy maszyn i narzędzi rolniczych. Dziś bowiem obok cen wysokich i braku ulg kredytowych, poważnym hamulcem rozpowszechniania maszyn i narzędzi, zwłaszcza śród średnich i drobnych właścicieli, jest trudność naprawy tych przedmiotów, głównie pochodzenia zagranicznego. Nieraz słyszeliśmy nawet śród ukształconych rolników takie zdanie: „Nie mogę wprowadzać do swego gospodarstwa ulepszonych maszyn, gdyż mi je popsują robotnicy niedołężni i nieobeznania urządzeniem. Kowal miejscowy nie naprawi, a do warsztatów zagranicznych nie opłaci się posyłać.“

Drobne warsztaty w kraju oddałyby wielkie usługi rolnikom naszym, gdyż przyczyniłyby się nietylko do rozpowszechniania maszyn i narzędzi, a więc do zniżenia kosztów i udoskonalenia produkcyi rolnej, lecz także spełniałyby poniekąd rolę instruktorów względem robotników wiejskich, tj. nauczyłyby ich obchodzić się umiejętnie z maszynami i narzędziami.

Zen. Piet.

ERA MIASTA.

Jedna z cech najcharakterystyczniejszych dla ery kapitalistycznej jest nagromadzenie ludności w wielkich środowiskach. Potworne milionowe aglomeraty ludzkie wchłaniają w siebie zda się wszystkie soki żywotne kraju; ludność ich wzrasta kosztem ludności wieśniaczej, kraj cały wytwarza dla tych brzuchów olbrzymich zboże i mięso, bez przerwy napływa do nich bogactwo wytworzone pracą całego kraju. Jakże często łżono te wielkie miasta, „wielki Babiłon;“ upatrywano w nich rozsadniki zbrodni i zepsucia, siedlisko zgnilizny moralnej, zwyrodnienia. A z drugiej strony, któż dziś zaprzeczy, że właśnie miasta są laboratoryami myśli ludzkiej, krzewicielami cywilizacyi, wielkiemi ogniskami światła; niedarmo sam wyraz „cywilizacya“ ma źródło słów wspólnych z nazwą mieszczanina „civis“ Ta rola przypadła miastom już w starożytności. Babilon, Niniwa, Memfis były siedliskami nauk, kunsztów, sztuki, twórczości; politycznej kultura Helady, była kulturą miast. Arystoteles chcąc określić człowieka jako istotę społeczną, powiada, że człowiek z „istoty swej“ jest obywatelem miasta. Rzym był „światem całym,“ po za jego murami istniał już tylko świat barbarzyńców, niewolników ryjących ziemię. Dopiero ludy germańsko-słowiańskie stworzyły sobie inne formy bytu i przez krótką chwilę dziejową miasto traci swoje znaczenie panujące. W wioskach średnich dwory panów i klasztory zaciszne stają się siedliskiem cywilizacyi. Wyjątek stanowią tylko dumne i kwitnące respubliki miejskie Włoch — Wenecya, Florencya, Genewa i pani świata, centrum katolicyzmu, jako potęgi wszechświatowej- -Rzym. Dopiero od wieku XVI począwszy, miasto nabiera znów wzrastającego znaczenia, lecz o decydującej roli długo jeszcze niema mowy: Klasą panującą jest szlachta, siedziby jej są właściwemi ogniskami kultury; powoli i w ciężkiej walce miasto dobija się znaczenia politycznego, cywilizacyjny jego wpływ wzrasta stopniowo w miarę tego, jak przemysł i handel przyczyniają się do wzrostu zamożności miast. Wyjątek stanowią tu miasta włoskie i Hansy niemieckiej. Dopiero z rozwojem kapitalistycznego przemysłu i handlu w wieku XIX zaczyna się niepomiernie szybki wzrost i dopiero teraz miasto odgrywa panującą rolę, narzuca całemu krajowi swoją kulturę. Lecz miasto nowożytne rdzennie różni się od typu starożytnego i średniowiecznego. Pomiędzy miastem starożytnem a wsią różnicy zasadniczej nie było, miasto średniowieczne, a nawet jeszcze miasto XVIII wieku stało nie o własnej sile, lecz czerpało siłę i bogactwo z kraju całego; splendoru dodawała mu klasa panująca, a ta opierała swoją potęgę na wsi. Dopiero odkiedy miasto stało się przedewszystkiem ogromnym warsztatem, zbiorowiskiem ludzi żyjących własną wyczerpującą i niesłychanie produkcyjną pracą, wytworzył się typ obywatela miejskiego, wręcz przeciwny typowi wieśniaka, i odtąd wytwarza się charakterystyczna kultura miejska. Że ta staje się wytyczną dla całego społeczeństwa, panującą, to tłomaczy się głównie ogromnym wzrostem ludności miejskiej. Jeszcze w wieku XVIII ta ludność liczebnie ginie w porównaniu z wiejską, stanowi zaledwie jakiś ułamek procentu; pod koniec wieku XIX staje się już częścią nader poważną. Ciekawem zatem musi być pytanie, jaką mianowicie częścią? Postaramy się odpowiedzieć na to pytanie, o ile statystyka rozporządza pod tym względem cyframi.

Zacznijmy od Anglii, w której różniczkowanie pod tym względem poczęło się najwcześniej i gdzie ludność miejska stanowi procentowo najpoważniejszy dział w porównaniu z wiejską. Według A. F. Webera (*The growth of Cities in the 19 century* Londyn 1899), w roku 1801 ludność Anglii*) wynosiła 8,892,000 dusz; z tej liczby przypadało na miasta (licząc więcej niż po 5,000 dusz)—2,314,000, na ludność wiejską 6,578,000; w roku 1851 ludność ogólna wzrosła do 17,927,000, przyczem na miasta przypadło 8,028,000, na wsie 9,899,000. Według spisu ostatniego, w roku 1901 było ludności 32,526,000, a w tej liczbie na miasta przypada 23,054,000 na wsie 9,471,000. W ciągu stulecia zatem stosunek stał się niemal odwrotnym. W roku 1801 ludność miejska stanowiła 26%, wiejska 74% w roku 1901 ludność miejska stanowi 26%, wiejska zaś 30%. Charakterystycznem przytem dla Anglii jest, że jak wykazują cyfry powyższe, w drugiej połowie wieku liczba ludności wiejskiej zmniejsza się absolutnie, z 9,899,000 na 9,471,000. W procentach wzrost ludności miejskiej a zmniejszanie się wiejskiej wypowiada się w cyfrach następujących:

dziesięciolecie	przyrost ludności na 100 miejskiej	wiejskiej
1851—60	21,9	+1,8
1861—70	28,1	—5,8
1871—80	25,6	—3,8
1881—90	18,5	—2,7
1891—1900	16,7	+2,5

Stopień przyrostu ludności miejskiej zmniejsza się zatem, a ostatnie dziesięciolecie wykazało przyrost wiejskiej. Czy atoli fakt ten świadczy o powrotnej fali, o zmianie dążności w rozmieszczeniu mieszkańców, czy też jest chwilowem tylko zakłóceniem ogólnego zjawiska, przesądzać trudno. Dotychczasowy przebieg tych stosunków Weber charakteryzuje następującemi słowy: „Ludność miejska w Anglii i Walii stale powiększa się szybciej niż wzrasta ogólna liczba mieszkańców, ludność zaś wiejska liczebnie zmniejsza się, lub wzrasta wolniej od liczby ogólnej. Przytem drobne miasta wogóle — z wyjątkiem dziesięciolecia 1811- 20, wzrastały w ludność wolniej niż norma przyrostu ogólnego. Miasta o ludności przewyższającej 20,000, z wyjątkiem Londynu, wyprzedzały szybko drobne miasta i okręgi wiejskie. Najbardziej intensywnym był przyrost wielkich miast, z wyjątkiem dziesięciolecia 1881—1890, w którym przeważał przyrost średnich miast (20- -100,000 mieszkańców). Londyn wzrastał wolniej od innych miast wielkich.“

We Francyi mamy statystykę ciągłą od roku 1848. W roku 1848 przy ogólnej liczbie ludności 35,400,000, miejskiej było 8,646,000, wiejskiej 26,753,000; w roku 1891 zaś, ogólna liczba ludności wzrosła do 38,373,000, przyczem ludności miejskiej było 14,311,000, wiejskiej 24,031,000. W tym okresie ludność miejska wzrosła stosunkowo z 24,4% do 37,4% ogółu. Lecz i tutaj wiejska zmniejszyła się absolutnie, i to w stopniu znacznym, bo 26,7 na 24,0 milionów. Mały przyrost ludności Francyi jest, jak wiadomo, bolączką społeczną tego kraju, zwłaszcza od roku 1870 zaczyna się zastój w tym względzie. Jak widzimy, zmniejsza się zwłaszcza ludność wiejska, podczas gdy miejska wzrasta. Zachodzi tu więc zjawisko, że przyrost ludności wskutek naturalnej przewyżki urodzeń jest całkowicie pochłonięty przez miasta, wieś wyludnia się. Co do różnych kategoryj miast, Levasseur dochodzi do wniosku, że „siła przyciągania ludzkich wspólnot zostaje w stosunku prostym do ich masy, tak samo jak w świecie fizycznym.“

W Niemczech mamy statystykę ciągłą dopiero od roku 1870, gdyż przedtem każde z państw rzeszy kierowało się w statystyce innemi zasadami. W okresie 1871—1895 zmiana w składzie ludności była następująca:

rok	wielkie miasta (przeszło 100 tysięcy mieszkańców)	średnie miasta (20—100 tysięcy mieszkańców)	małe miasta (5—20 tysięcy miesz.)	osady (2—5 tysięcy miesz.)	wsie
1871	1,968,000	3,147,000	4,588,000	5,190000	26,164,000
1895	7,030,000	5,376,000	7,079,000	6,317000	25,913,000

A potem wliczając osady do miast, otrzymamy w roku 1871 ludności miejskiej 14,89 milionów, wiejskiej—26,16; zaś w roku 1895 — miejskiej 25, 99 milionów, wiejskiej—25,97. I tu więc miasta wchłonęły w ostatniem dwudziestopięcioleciu cały przyrost ludności; wiejska zmniejszyła się

*) Właściwiej: Anglii i Walii, bez Irlandyi i Szkocyi.

nietylko stosunkowo, lecz absolutnie; podobnie jak w Anglii miasto panuje już nad wsią liczebnie. Ostatnie pięciolecie ubiegłego wieku odznaczało się w Niemczech niesłychanie intensywnym rozwojem przemysłu i handlu, sądzić więc należy, że w rozmieszczeniu ludności zaszła w tym okresie ponowna zmiana na korzyść miast.

W naszym kraju — według zestawienia W. Załęskiego — stosunek przedstawia się tak: Ludność wynosiła w roku 1872 — 6,528,000 w roku 1897—9,456,000; z tej liczby było ludności miejskiej w roku 1872—1,058,000, w roku 1897—2,056,000; na 100 ludności ogólnej przypadło zatem na miasta w roku 1872 — 16,21, w roku 1888 — 21,74, ludność miejska wzrosła o 94,33%. Zauważyć wszakże należy, że w naszej statystyce nie wlicza się do miast osad fabrycznych; figurują więc tu w liczbie miast małe mieściny, lecz nie są zaliczone takie „osady" jak Żyrardów, Dąbrowa, Zawiercie. Pominąwszy więc te ogniska przemysłowe, liczy się u nas 32 miasta z ludnością więcej niż 10,000 dusz, podczas gdy w roku 1872 było ich tylko 15. Dwa największe w kraju miasta wzrastają niesłychanie szybko: Przyrost Warszawy w okresie 25-letnim wynosił 131,24%, przyrost Łodzi 524%. Szybkim wzrostem odznaczają się wogóle miasta o rozwiniętym przemyśle, np. Pabianice 249%, Będzin 224%, Częstochowa 214% Tomaszów 143%, Mława 126%.

Jeżeli zadamy sobie pytanie, czy ta dążność ku pomnażaniu ludności miejskiej kosztem wiejskiej jest stałem i nieuniknionem zjawiskiem, to odpowiedź brzmi: Dopóki trwać będą współczesne warunki społeczne, zjawisko to trwać będzie nadal; czy jednakże przyszła faza rozwoju nie zmieni dostatecznie charakteru samego miasta, to inna kwestya. Dziś już bowiem w miastach największych zachodzą zjawiska zapowiające doniosłe zmiany na przyszłość. Tak np. gęstość zaludnienia poczyna się zmieniać, centrum miasta nie stanowi już najbardziej zaludnionej dzielnicy; ulepszenie środków komunikacyi powoduje rozmieszczenie ludności miejskiej na znacznie większej przestrzeni. O tych zmianach i celowej polityce komunalnej, wpływającej na reformę bytu miejskiego, pomówimy przy sposobności.

J. B. Marchlewski.

NA MARGINESIE.

Z krainy wiecznego ognia. W stronie południowo-wschodnich odprysków łańcucha kaukaskiego trzęsienia ziemi nie są bynajmniej rzadkością, lecz wieść o nich rozchodzi się tylko wtedy, gdy klęska dotknie znaczniejszą miejscowość lub większą przestrzeń kraju.

Szemacha stanowi jedno z ogniw olbrzymiego łańcucha źródeł naftowych, którego początku szukać należy w Galicyi i Rumunii. Na wschód od Karpat, już w Krymie, trafiamy na źródła nafty, które mnożą się wzdłuż Kaukazu, od Anapa-Noworosyjsk do Szemacha-Baku.

Przyczyną klęski, która dotknęła Szemachę są bezwątpienia czynne pod ziemią gazy naftowe.

Na terytoryum naftowem Kaukazu wydobywają się one wszędzie z pod ziemi, wyrzucając jednocześnie naftę i błoto. Tworzą się stożkowate wzgórki marglowe z wgłębieniem kraterowem, wypełnione naftą i wodą, w której bezustannie bulgoczą pęcherzyki gazowe. Wzgórki te bywają tak duże jak zwykłe mrowiska, lecz niekiedy dochodzą wielkości prawdziwych gór. Nazywają je *wulkanami błotnymi*, a są one niezbitym dowodem podziemnej czynności gazów naftowych. W okolicach Szemachy wulkanów tych jest bardzo dużo; jeden z nich w pobliżu wioski Maraza wstąpił teraz właśnie w okres gwałtownej czynności. Na niezbyt wielką głębokość w skorupie ziemskiej wytwarzają one rozległe próżnie, na które gazy cisną gwałtownie. Przerwanie się takiej próżni, czy to wskutek otworzenia przejścia, czy też podziemnego wybuchu gazów, wywołuje kołysanie skorupy ziemskiej, jak to zauważono w Szemasze.

W okolicach Baku, o jakie 20 kilometrów na południe - zachód leży Lok - Batan, jeden z największych wulkanów błotnych Kaukazu, obecnie nieczynny, który przed kilku laty wybuchnął niespodzianie, wyrzucając olbrzymie masy błota marglowego, czemu towarzyszył huk podziemny, wybuch gazów i kołysanie się ziemi, które trwało jedną minutę. Wydobywające się gazy zapłonęły i jak słup ognisty, widny daleko na okół, wzniosły się w górę.

Wejście na Lok-Batan nie przedstawia żadnej trudności. Idzie się szlakiem wytkniętym przez zaschnięty strumień marglu, ciągnący się od brzegów krateru aż do równiny; można tylko w tej wędrówce po szyję zapaść się w miękkiej masie gościńca, o którego zdradliwości świadczy już sama nazwa wulkanu, Lok-Batan bowiem w mowie krajowców znaczy: „wielbłąd się zapadł." Karawanom perskim, przechodzącym tędy, zdarzają się wypadki, że wielbłądy ich zapadają się w bezdeń tego wulkanicznego margla.

Lecz podróżującym w tych stronach nietylko wulkany błotne przypominają o istnieniu sił tajemniczych, działających w głębi ziemi, mówi im o nich także ogień „wieczny," na tem terytoryum napotykany. Niedaleko Baku w zupełnej pustyni wznosi się góra Ataszka. Na szczycie tej góry oglądać można wysoko płonące ognie; jeśli silniejszy podmuch wiatru zgasi jaki płomień, słychać wyraźnie jak ze szczeliny gazy palne wydobywają się i syczą, póki znów nie zapłoną. Z tej góry widać słynną równinę Balachani-Sabunczi i bardziej odległe Sarachani, a widok ich nasuwa przypuszczenie o łączności podziemnych zbiorników nafty z otaczającymi płomykami, z „wiecznym ogniem" pól naftowych i częstemi trzęsieniami ziemi w tych stronach.

(*Frank. Zeit.*)

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Komitet poznański, zbierający składki na dzieci wrzesińskie, ogłosił sprawozdanie kasowe, które wykazuje, że na ręce komitetu nadesłano 64,038 m. 32 fen. Oprócz tego złożono w Banku handlu i przemysłu w Krakowie 69,450 koron 64 hal. Z tych sum wydano na kaucyę dla skazanych na więzienie i wypuszczonych tymczasowo na wolność, na wsparcie rodzin osób skazanych i na inne cele wskazane przez ofiarodawców 19,850 m. 60 fen. Reszta pozostanie do dalszego rozporządzenia w rękach komitetu i w Banku krakowskim.

— Na miejsce rozwiązanego przez władze dozoru szkolnego we Wrześni, wybrano ponownie samych Polaków. Niemcy otrzymali tylko 25 głosów.

— Zatwierdzono ustawę Towarzystwa oszczędnościowo-pożyczkowego w Chmielniku, gub. Kieleckiej.

Protest. Kilkadziesiąt osób, zajmujących wybitne stanowiska społeczne i naukowe w Krakowie i Lwowie, wystąpiło do komitetu zajmującego się restauracyą Wawelu, z protestem publicznym, w którym oświadczają, iż „wprawienie w katedrze na Wawelu witraży niemieckich, niemających ze sztuką nic wspólnego, jak się z pierwszego okazu przekonać można, uważają za pohańbienie najdroższej pamiątki, ubliżenie godności narodowej," oraz wzywają ogół do energicznego protestu i żądania, aby tego zamysłu nie urzeczywistniano.

Szkoły. Ministeryum oświaty zawiadomiło warszawski okrąg naukowy, że osoby, zdające egzamin na ucznia aptekarskiego, oraz kobiety, starające się o świadectwo prawa wstępu do instytutu medycznego, nie podlegają egzaminowi piśmiennemu z łaciny.

Jubileusz. Z inicyatywy „Czytelni dla kobiet" w Krakowie zawiązał się komitet w celu uczczenia 25-letniej działalności pisarskiej Maryi Konopnickiej. Powstał projekt kupienia poetce, drogą składek, kawałka ziemi na Śląsku, u ujścia Wisły.

„Legendy." Lwowski trybunał sądu krajowego uznał się niekompetentnym w sprawie zarządzonej przez prokuratoryę konfiskaty „Legend" A. Niemojewskiego, ponieważ utwór ten drukowany był w Krakowie; sąd krakowski zaś, któremu tę sprawę przekazano, konfiskatę zniósł. Prokurator zaskarżył sprawę do II instancyi.

Hakata. W Dortmundzie utworzył się komitet dla obrony niemczyzny w Westfalii i prowincyach nadreńskich, „zagrożonych przez napływ Czechów i Polaków."

— Senat uniwersytecki w Lipsku uchwalił nie uznawać rosyjskich świadectw dojrzałości. Słuchacze z takiemi świadectwami nie będą przyjmowani na wykłady uniwersyteckie.

— Rząd niemiecki odstąpił od zamiaru założenia uniwersytetu w Poznaniu, z obawy, aby zakład ten nie wyszedł na korzyść Polaków. Natomiast będzie założona w Bydgoszczy wyższa szkoła rolnicza.

Pasporty. Ministeryum skarbu podniosło projekt podwyższenia opłaty od pasportów zagranicznych, czemu jednak sprzeciwia się ministeryum spraw wewnętrznych, żądając obniżenia tejże opłaty.

Stempel. Wyjaśniono, iż prośby o dopuszczenie do egzaminów na patent nauczycielski nie podlegają opłacie stemplowej.

Dla kobiet. Powstał projekt otworzenia kilku wyższych szkół rysunkowych wyłącznie dla kobiet, w celu przygotowania rysowniczek dla geometrów, budowniczych, inżenierów itp. Do szkół przyjmowane będą kandydatki z wykształceniem 4-klasowem średniem. Kurs będzie dwuletni; oprócz rysunków wykładane będą: geometrya, algebra, rachunkowość miernicza itp.

Ze sztuki. Projektowane kupno dla Muzeum narodowego w Krakowie obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem" nie doszło do skutku z powodu wysokiej ceny. Fundusz na ten cel zebrany postanowiono rozdzielić między Muzeum i Dom Matejki.

— W Salonie Krywulta otworzono wystawę prac malarza czeskiego, Joża Uprki.

Prawa Żydów. Senat rządzący orzekł, iż Żydzi mogą bez przeszkód wstępować do aptek w charakterze uczniów aptekarskich, bez względu na to, czy w danej miejscowości wolno im mieszkać czy nie.

Konkursy. Akademia Umiejętności w Krakowie ogłosiła konkurs im. Józefa Majera na temat: „Monografia o Zamku królewskim na Wawelu pod względem historycznym i architektonicznym." Nagroda 2,000 koron wypłacona będzie dopiero po opublikowaniu dzieła uwieńczonego. Prace konkursowe należy nadsyłać do Akademii Umiejętności najpóźniej do d. 31 grudnia 1903 r.

Zapis. Zmarły w zeszłym miesiącu w Warszawie Walenty Rościszewski, obywatel gub. Płockiej, przekazał testamentem Kasie Mianowskiego resztę majątku, jaka pozostanie po wypłaceniu 27,000 rb. krewnym zapisodawcy.

Zakaz. Policya moskiewska zabroniła we wszystkich traktyerniach, piwiarniach i herbaciarniach trzeciego rzędu prenumerowania innych gazet, oprócz *Mosk. Wiedomosti*, *Moskowsk. Listka*, *Now. Wrem.* i *Swieta*.

Zjazdy. Czwarty zjazd słowiański dziennikarzy odbędzie się w Lublanie d. 18 i 19 maja r. b.

Wystawy. W maju otworzoną będzie w Petersburgu angielska wystawa przemysłowo-handlowa, na której wystawione będą wyroby tylko angielskie. Trwać ma trzy miesiące.

Rolnictwo. W ministeryum rolnictwa zatwierdzono projekt otwarcia w Petersburgu lub Moskwie instytutu gospodarstwa mlecznego, do którego przyjmowani będą kandydaci z wykształceniem średniem.

— Warszawska dyrekcya Towarzystwa kredytowego ziemskiego wystawiła na sprzedaż za zaległe raty pożyczkowe 76 majątków ziemskich, dyrekcya płocka — 53.

Koleje i komunikacye. Zarząd dróg Nadwiślańskich ustanowił nowe przepisy dla przewozu robotników kolejami w klasie IV, w komunikacyi miejscowej lub bezpośredniej. Robotnicy będą przewożeni najmniej po 40 osób razem, na przewóz mniejszej

liczby uzyskać trzeba pozwolenie zarządu kolei. Wyjątek zrobiono dla stacyj rozjazdowych kolei Dąbrowskiej, skąd przewóz robotników odbywa się na mocy wykupywanych przez nich osobnych biletów klasy IV-ej.

— Na naprawę i utrzymanie dróg w okręgu warszawskim w roku zeszłym ministeryum komunikacyj wydało 2,672,000 rb.

— Powstał projekt połączenia telefonem Warszawy z Berlinem.

— Ministeryum komunikacyj wydało rozporządzenie, aby wszystkie stacye kolejowe zostały połączone telefonem.

— Wkrótce ma być zaprowadzona bezpośrednia komunikacya pomiędzy kolejami rosyjskiemi i serbskiemi drogą żeglugi czarnomorsko-dunajskiej i serbskiej.

— Koszt budowy nowych dróg żelaznych w państwie rosyjskiem, już zaczętych lub w roku bieżącym budować się mających, obliczono na 420 mil. rubli. Długość ich wyniesie około 6,000 wiorst.

— Ministeryum komunikacyj wyznaczyło komisyę, która ma się zająć opracowaniem osobowych taryf okólnych w komunikacyi wewnętrznej i międzynarodowej.

Katastrofy. W arsenale nowojorskim nastąpił wybuch, który zrządził wielkie spustoszenie w domach sąsiednich. Ofiarą tego wypadku padło około 200 ludzi.

Zmarli. Emil Holub, w Wiedniu, głośny podróżnik po Afryce. Żył lat 55.

— Samuel Rawson Gardiner, w Londynie, wybitny historyk angielski. Żył lat 73.

Odpowiedzi Redakcyi.

Izolowi. Wiersz Pański pomieścimy.

Panu Bogdanowi Breszel. Wydrukujemy.

Cede. Utwory Pańskie nie posiadają żadnej wartości poetyckiej.

Cmie. W nadesłanych próbkach są zadatki talentu: wyobraźnia i myśl głębsza, trzeba tylko jeszcze jedną i drugą kształcić i rozwijać, a prócz tego nad językiem pracować.

Prenumeratorowi w Warszawie. Artykuły pod tym tytułem wychodziły w r. 1882; pierwszy pojawił się w nr. 35.



Redaktor i Wydawca **A. Świętochowski.**

Дозволено Цензурою, Варшава 14 Февраля 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.